

WSTĘPNIAK – Jakub Radziejowski	3	SPORT	
OD PREZESA – Marek Kaliciński	3	Podsumowanie sportowe UKA 2015 – Bartek Jarosiewicz	32
ZAWÓD WSPINACZ		Agama – podsumowanie AD 2015 – Małgorzata Kusztełak	42
Fotograf górski, wydawca, redaktor – Piotr Drożdż	4	Zawodnik od dziecka – rozmowa z Szymonem Łodzińskim – Stefan Madej	48
Team builder, czyli Rocky steps – Jarek Mazur	6	Zawody na Bloco 2015/2016 – Marek Kaliciński	54
Wspinacz sponsorowany – Marcin Tomaszewski	8	RÓŻNOŚCI	
Adventure filmmaker – Eliza Kubarska	9	Różności	60
Redaktor portalu wspinaczkowego – Piotr Turkot	11	Most Grota – Marcin Wernik	64
Instruktor tatrzański i skalny – Jakub Rozbicki	12	ŚWIAT	
Przewodnik – Maciek Ciesielski	14	UKA w górach Świata – Maciek Kowalczyk	67
Instruktor wspinaczki sportowej – Bartek Jarosiewicz	16	Plener – Wojciech Ryczer	74
KLAJMBING FIKSYN		Ballada o Ser Nixie – Marcin Wernik	78
Specjalista – Andrzej Mecherzyński-Wiktor	18	Nowe horyzonty – Bartosz Kurowski	81
TATRY		SKITURING	
Podsumowanie tatrzańskie AD 2014/2015 – Jakub Tkaczuk	22	Zawody skialpinistyczne w Polsce – Małgorzata Czeżot	86
Wojny pokoleń, czyli konflikty taternickie dwudziestolecia międzywojennego – Wojciech Bajak	26	Wyjazd skiturowo-lawinowy – Jarek Kamer	90
		BIEGI GÓRSKIE	
		Bieganie AD 2015 – Mateusz Mioduszewski	92

Biuletyn Uniwersyteckiego Klubu Alpinistycznego „BUKA” nr 18, kwiecień 2016; ISSN 1730-0754

Nakład 1000 egz.

Redakcja: **Krzysztof Kowalczyk** (skład), **Mariusz Gładysz** (projekt), **Jakub Radziejowski** (naczelnictwo), **Agnieszka Tyszkiewicz** (sekretariat redakcji), **Aneta Brzozowska**, **Ryszard J. Burek**, **Katarzyna Winiarska** (redakcja i korekta), **Marcin Wernik**.

Okladka: **Ania Thiele-Wieczorek** na *Y Viva Pancho Villa* w Telendos
fot. **Jakub Thiele-Wieczorek**

Partnerem wydania jest Narodowe Archiwum Cyfrowe (www.nac.gov.pl)



Stanowiska wyrażone w artykułach oddają poglądy ich autorów, a niekoniecznie poglądy Redakcji lub Zarządu UKA. Wspinanie jest sportem niebezpiecznym, którego uprawianie wymaga specjalistycznego przeszkolenia i przestrzegania zasad bezpieczeństwa. Redakcja ani UKA nie ponoszą odpowiedzialności za ewentualne wypadki wynikłe przy okazji uprawiania aktywności opisanych na łamach BUKI. Wspinasz się na własne ryzyko.

Wstępniak

Jakub Radziejowski



foto. arch. J. Radziejowski

Praca to pieniądze, a pieniądze na wspinanie to sponsorzy. A jak jest kasa, to i pojawia się zagrożenie nie raz opisywanej, także na łamach BUKI – „k... sławy”. Idzie za tym często niestety podkręcanie własnych osiągnięć, egzaltacja, epatowanie swoimi dorobkiem – wszystko po to, by medialnie lepiej się sprzedać. W kontraście do powszechnej dziś tendencji, z dużą przyjemnością i satysfakcją publikujemy na łamach Biuletynu relacje z czołowych przebiegów alpinistycznych tego roku, takich, które stronią od popadania w pychę i niepotrzebnego nadęcia. Nie są też nudne, o co wcale nie jest łatwo. Wartościowymi refleksjami na temat nagrodzonej Kolosem wspinaczki dzieli się z nami Wojtek, z dużym dystansem o wyprawie (także wyróżnionej na Kolosach) pisze Ser Nix, a młodszy od nich Bartek odnajduje wspinaczkową równowagę w tan-gu. Świetne wspinaczki, świetne teksty.

Poza cyklem ZAWÓD WSPINACZ i relacjami ze wspinaczek, znajdziecie w BUCE jak zwykle wiele ciekawych materiałów – podsumowania ubiegłorocznych działań członków UKA w górach i skałach oraz kolejną, publikowaną przez nas rozprawę z klubowym sportowcem ze ścisłej krajowej czołówki. Znajdziecie relację ze współorganizowanych przez UKA, cieszących się fantastyczną frekwencją zawodów boulderynych, czy ciekawe teksty historyczne. Pierwszy z nich opowiada o kultowej warszawskiej miejscówce. Drugi przypomina, że środowiskowe konflikty to nie jest kwestia ostatnich dziesięciu lat, a odmienne interesy i ambicje targły polskimi wspinaczami już blisko sto lat temu. Wreszcie, dla miłośników nieco innych górskich aktywności – dwa inspirujące teksty o skituringu oraz podsumowanie ostatniego roku w wykonaniu klubowych biegaczy ultra.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o Nagrodach UKA. W tym roku Kapituła NUKI miała z nimi wielki ból głowy. Znakomitych wspinaczek było znacznie więcej niż mogliśmy podejrzewać i zmuszeni byliśmy ogłosić obszerną listę laureatów – tak obszerną, jak jeszcze nigdy do tej pory. Nie sposób było pominąć przebiegów, z których każde w swojej kategorii należy do czołowych osiągnięć w skali krajowej.

Wszystkim wyróżnionym serdecznie gratuluję!

A Wam, Drodzy Czytelnicy, życzę inspirującej lektury i owocnego roku 2016.



Od Prezesa. 20 lat minęło

Marek Kaliciński



foto. arch. M. Kaliciński

W czerwcu 1996 wstąpiłem do UKA. Jak łatwo policzyć, w tym roku mija 20 lat. Od samego początku mocno zaangażowałem się w pracę społeczną – zbierałem opłaty na ścianie klubowej, pojawiałem się na cotygodniowych spotkaniach w siedzibie Klubu (czasami jako jedyny!), uczestniczyłem w każdej klubowej imprezie. Nawet nie pamiętam, dlaczego tak szybko zacząłem pomagać – widocznie taka natura. W 1998 roku „przejeżdżyłem Klub” z grupką podobnych mi osób i oficjalnie zostałem członkiem Zarządu. Przez lata wykonywałem wiele zadań jednocześnie – pełniłem funkcję skarbnika, organizowałem szkolenia, obozy, objanie skał, zawody i różnego rodzaju mniejsze imprezy: slajdowiska, początki i zakończenia sezonu itp. Od 2004 roku (po nagłej rezygnacji Jacka Czaubańskiego) do obowiązków doszła mi księgowość Klubu i prowadzenie całej niezbędnej papierologii. Wszystkiego szybko musiałem się nauczyć. Widziałem jednak, jak Klub się rozwija, zwiększając liczebność z 50 do 500 osób, i przez lata z zapalem poświęcałem mu swój czas i energię.

Obecnie nadal angażuję się w wiele zadań. Wiem jednak, iż niektóre tematy, którymi się zajmowałem, leżą teraz odłogiem, bo niestety nie mam tyle czasu i energii aby nadal pchać ten wózek z takim samym zapalem. Wiem także, iż niedługo tego czasu będę miał coraz mniej i muszę zwiększyć tempo, aby znaleźć osoby, którym będę mógł przekazać swoje obowiązki.

W przyszłym roku (przed wydaniem następnego numeru BUKI) mamy kolejne wybory i liczę, iż niektórzy poczują chęć kontynuacji tego dzieła. Nie będzie to łatwe zadanie, lecz liczę na Was. Praca społeczna potrafi sprawić wiele satysfakcji, choć nie jest dla każdego. Trzeba umiejętnie zarządzać swoim czasem, mieć poczucie obowiązku, ale przede wszystkim czuć więź i chęć rozwoju Klubu.

Nie bójcie się – nie od razu rzucę Was na głęboką wodę. Chciałbym powoli przekazać Klub przez następną kadencję Zarządu, odgrywając coraz mniejszą rolę. Zapewne później będę kontynuował niektóre zadania, lecz na pewno w mniejszym zakresie.

Mam nadzieję, że mój apel w wersji drukowanej trafi do większej liczby osób (wiem, jak obecnie czyta się maile) i że do następnego Zarządu będziemy musieli przeprowadzić prawdziwie demokratyczne wybory wśród rzeszy chętnych do działania. Liczę na Was jako członka Uniwersyteckiego Klubu Alpinistycznego, któremu zależy na dobru Klubu. Na pewno nam się uda.

PS. Oczywiście zapraszam już teraz wszystkie osoby, które chciałyby sprawdzić się i pomóc w mniejszym zakresie – organizacja jakiegokolwiek obozu czy wspólnego wyjazdu w skały nie wymaga całorocznej pracy. Dobrym przykładem może być chociażby ostatni obóz skitowowy. Pojawiła się inicjatywa, Zarząd pomógł, lecz realizacja spoczęła na Klubowiczach, bo akurat nikt z Zarządu nie mógł pojawić się na miejscu w zaplanowanym terminie (lub po prostu nie uprawia tej formy kontaktu z górami). Jest bardzo ważne, aby organizatorzy byli także uczestnikami – inaczej to nie zadziała.

0 klubie



Uniwersytecki Klub Alpinistyczny jest stowarzyszeniem o ponad czterdziestoletniej już historii, skupiającym ludzi czynnie uprawiających wspinanie we wszystkich jego postaciach. **UKA** jest jednym z większych klubów w Polsce, obecnie liczy sobie ponad 450 członków; zrzeszony jest w **Polskim Związku Alpinizmu**.

Chcesz do nas wstąpić?

Do Klubu zapraszamy wszystkie osoby, które posiadają już pewne umiejętności wspinaczkowe, czyli ukończyły kurs wspinaczkowy lub w inny sposób zdobyły wspinaczkowe doświadczenie. Jeżeli jesteś dopiero początkujący to oferujemy odpowiednie kursy. Pełna informacja o zasadach przyjmowania, kursach oraz o zaletach przynależności do UKA dostępna jest na naszej stronie www.uka.pl

Możesz też do nas napisać: uka@uka.pl

Uniwersytecki Klub Alpinistyczny – zwiąż się z właściwym środowiskiem

Uniwersytecki Klub Alpinistyczny
Stowarzyszenie kultury fizycznej
Organizacja pożytku publicznego
ul. Bohaterów 5/7, 03-982 Warszawa
www.uka.pl uka@uka.pl

KRS 0000108308

Konto bankowe: Nordea Bank Polska S.A.
16 1440 1299 0000 0000 0187 7801

Zarząd: Marek Kaliciński (prezes), Agnieszka Tyszkiewicz, Joanna Skurzak, Bartosz Jarosiewicz, Maciej Kuźniak, Łukasz Korzeniewski, Zbigniew Warakowski, Marek Wierzbowski

Komisja Rewizyjna: Arek Koszek, Michał Łodziński, Karol Sulej

1% PRZekaż JEDEN PROCENT SWOJEGO PODATKU!

Od października 2004 Uniwersytecki Klub Alpinistyczny jest zarejestrowaną przez sąd organizacją pożytku publicznego. Status ten umożliwia darczyńcom przekazywanie jednego procenta swojego podatku na rzecz Klubu.

Wszystkie informacje dotyczące procedury przekazania 1% na rzecz UKA oraz najczęściej zadawane pytania znajdują się na naszej stronie www.uka.pl

Wybierz Uniwersytecki Klub Alpinistyczny!



Fotograf górski, wydawca, redaktor

Piotr Drożdż

Trochę mnie zaskoczyło, ale zarazem ucieszyło, że Kuba Radziejowski poprosił mnie, abym pisał o „profesji” fotografa górskiego. Moja skromna osoba chyba ciągle kojarzy się głównie z pracą redaktorską jako naczelnego „GÓR”, napisaniem, wydaniem lub zredagowaniem kilku książek i autorstwem kilkuset artykułów. Ale prawda jest też taka, że od ponad pięciu lat, z roku na rok, coraz większą część mojej pracy zawodowej wiąże się właśnie z fotografią. A przede wszystkim, że pasja, z jaką fotografuję, co najmniej dorównuje moim ulubionym aspektom pracy w charakterze górskiego dziennikarza i wydawcy.

4 Ale od początku. Wspinaczem zawsze byłem przeciętnym. Na sakramentalne pytanie „Co przeszedłeś zimą na Kazałnicy” muszę odpowiedzieć „Nic”. Zrobione onsajtem letnie drogi na tej ścianie typu *Epitafium*, samotne przejście *Pachniesz Brzozkwinia* czy *Cassin* na Cima Ovest di Lavaredo nie dają przepustki nawet do polskiej wspinaczkowej klasy średniej. Ich umieszczenie w ówczesnych podsumowaniach sezonu świadczy tylko o marnym poziomie, jaki prezentowali nasi górcy skalolazi w pierwszych latach XXI wieku. W czasach, kiedy małe dzieci robią mityczne dla mojego pokolenia VI.5, lepiej nawet nie wspominać o życiówkach we wspinaczce sportowej.

A jednak – mimo zupełnie przeciętnych zdolności, od początku wspinaczkowa pasja i jej otoczek – w postaci książek, czasopism i filmów – zawaładnęły mną na dobre. Pamiętam jak z wypiekami na twarzy wertowałem, trudno wówczas dostępne, zachodnie magazyny – „Climbing”, „Rock & Ice” i „Rotpunkt”. Jak wielokrotnie od deski do deski zaczytywałem się w kultowym „Brytanie” czy archiwalnych numerach „Taternicza”. Jak zawzięcie kolekcjonowałem górskie książki i kompleto- wałem wolumeny „GÓR”, „Optymista” czy „Taternika”. Po kilku latach studiowania górskiej literatury i publicystyki zacząłem sam pisać, zrazu do szuflady, potem pojawiła się szansa pierwszych publikacji. I wówczas zamarzyłem o tym, aby – jak w temacie przewodnim „Buki” – wykonywać zawód związany ze wspinaniem. I to nie

przewodnika, instruktora czy trenera, ale... górskiego pismaka ☺.

Przyznam, że kierowałem się wygodnicką zasadą, że jeśli uda mi się znaleźć profesję, która będzie jednocześnie pasją, to tak naprawdę nigdy nie będę pracować w standardowym tego słowa rozumieniu. Czyż to nie lepsze rozwiązanie niż codzienna harówka, aby wreszcie na chwilę – po południu albo w trakcie wymarzonego urlopu – zapomnieć o „robocie” i na przykład się powspinać? Pewnie, że lepsza, ale łatwiej powiedzieć niż...

Pierwszym zrobionym krokiem było zatrudnienie się w Zakładzie Alpinizmu i Turystyki Kwalifikowanej AWF w Krakowie. Niby było to praca około wspinaczkowa, ale – z różnych powodów – do mojego ideału ciągle było dość daleko. Trochę jak w dowcipie, że fajna byłaby ta praca na uczelni, gdyby nie studenci. Nie chcę przez to powiedzieć źle o studentach krakowskiej akademii, to raczej ze mnie był kiepski dydaktyk. Obłożony stertą czasopism i książek, pracując nad kolejnym artykułem, czułem się jak ryba w wodzie. Ale prawda jest taka, że tego typu praca stanowi dziś sięć procent uczelnianej codzienności. Pozostałe dziewięćdziesiąt to dydaktyka, praca organizacyjna i biurokracja. Pozostało znaleźć pracę, gdzie te proporcje się odwrócą.

Udało się. Pod koniec 2001 roku byłem już zastępcą redaktora naczelnego „GÓR”, a rok później zostałem „naczelnym”. W tym roku minie więc piętnaście lat, odkąd moim głównym zajęciem jest szeroko rozumiana działalność wydawnicza związana ze wspinaniem i górami. Zaraz, zaraz, ale przecież miało być o fotografii.

Otóż w pewnym momencie zauważyłem, że pisanie i wydawanie zaczyna być tak absorbujące czasowo, iż prawie całkowicie wypiera z mojego życia prawdziwe przebywanie w górach i skałach. Zacząłem, z przekąsem, ale też i smutkiem, mówić o sobie per „papierowy wspinacz”. Remedium na taką tendencję okazała się właśnie fotografia.



Przyjaciele
fot. Marko Prezelj

Zdjęcia robiłem od zawsze, ale profesjonalnej fotografii zacząłem się uczyć, przede wszystkim studiując zdjęcia innych. Łączna liczba zredagowanych przeze mnie stron zapewne przekracza piętnaście tysięcy, a na jedną przypadają średnio, co najmniej kilkanaście fotografii, jakie miałem do wyboru. Do każdej z ośmiu wydanych Fotoedycji „GÓR” przeglądałem kilka tysięcy zdjęć czołowych światowych fotografów. Wtedy przeklinałem tych, którzy zamiast samemu dokonać selekcji, wysyłali mi kilkanaście płytek z całymi sesjami. Dziś ich błogosławię, bo dzięki wybieraniu tych najlepszych kadrów zdobyłem doświadczenie równe tysiącom godzin spędzonych w terenie, w różnych warunkach. Do dziś zachęcam wszystkich fotoamatorów do uważnego studiowania zdjęć, które im się spodobały, najlepiej analizując ich parametry.

**Fotografia okazała się
skutecznym sposobem
na powrót w góry.**

Niezależnie czy robiłem materiał do „GÓR”, specjalną sesję dla firmy outdoorowej, czy też pracowałem jako oficjalny fotograf górskiej imprezy, mogłem „uciec” zza biurka w góry. Wprawdzie ciężar sprzętu

fotograficznego zazwyczaj sprawia, że trudno mówić o prawdziwym wspinaniu, ale mogę robić to, co lubię w ukochanych okolicznościach przyrody. W dodatku, podobnie jak wspinacz, który wytycza nową drogę, mam szansę brać udział w kreatywnej i fascynującej grze, jaką zawsze jest uwiecznianie, za pomocą światłoczułej matrycy, jakże ulotnej i dynamicznej kompozycji z gatunku „człowiek w górach”.

5 Na koniec plusy i minusy takiej pracy. Minusów profesji fotografa górskiego jest naprawdę niewiele. Głównym jest chyba tylko to, że obecnie trudno byłoby się utrzymać wyłącznie z tej pracy. Zwłaszcza mając rodzinę i nie chcąc być w domu rzadkim gościem. Gdyby wykonywać ten zawód codziennie, poziom ryzyka też byłby chyba nieco zbyt wysoki. Minusy pracy wydawcy i dziennikarza są powszechnie znane: stres, stres i jeszcze raz stres. Głównym plusem są ciągle nowe wyzwania oraz projekty i praca z ciekawymi ludźmi.

Mówi się, że jestem człowiekiem mediów. Na szczęście jest to zupełnie niszowa ich dziedzina, w której – w przeciwieństwie do mediów szerokiego obiegu – jest sporo miejsca na szczerych ludzi i prawdziwe emocje. Pięknie ilustruje tę prawdę powyższe zdjęcie, na którym jestem z redaktorem naczelnym „Desnivela” Darío Rodríguezem, francuskim fotografem Pascalem Tournaire i dwoma świetnymi wspinaczami słoweńskimi: Alešem Česenem i Luką Lindičem. Autor tej fotografii, Marko Prezelj, wysłał nam ją w mailu zatytułowanym „Authenticity”. Nic dodać, nic ująć.

Team builder, czyli rocky steps

Jarosław Mazur

W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych jako świeżo upieczony taternik, dwa razy w tygodniu smażyłem frytki w klubie studenckim Proxima. Był to czas kiedy z Dziewczyną, obecną Żoną, zaczęliśmy wspólne życie. Trochę tak jak w piosence T-Love - mieliśmy materac, popłatą lodówkę, w której nie było nawet lodu, pralka była marzeniem, a emocji dostarczał wybuchający piecyk gazowy. Sandały i polarowe skarpety, po pierwszym jesiennym opadzie śniegu, udało się zastąpić otrzymanymi od Dziadka skózanymi butami, których odpadające podeszwy musiałem systematycznie przybijać gwoździkami. Z powodu braku telewizora, często spędzaliśmy wieczory w kinie Stolica. Tam pewnego razu, kiedy w domu mieliśmy awarię wody, po seansie zostaliśmy nakryci w łazience z ręcznikami i szczoteczками

do zębów. Byliśmy szczęśliwi mimo, że każde wydane pieniądze były naszymi ostatnimi pieniędzmi. Byłem już wtedy posiadaczem tzw. „himalajków”, „irbisa” i paru „stiepanowów” oraz rosyjskiej liny dynamicznej z atestem tamtejszego ministerstwa rybołówstwa. Wspinałem się na moście Grota, bywałem na bunkrach, a w zostaniu wielkim wspinaczem mogło mi przeszkodzić tylko i wyłącznie zostanie wielkim żeglarzem.

Mniej więcej w takiej sytuacji życiowej – od kolegi, który potem stał się Przyjacielem – usłyszałem propozycję pojechania na imprezę. Imprezą okazał się być piknik firmowy, przy obsłudze którego pracowaliśmy. Krzysiek był dla mnie team buildingowym wyjadaczem, ponieważ zaliczył wcześniej jeden lub dwa podobne wyjazdy. Zbijaliśmy drewniane drabiny, aby

potem przywiązać je do drzewa, niczym posąg na Wyspie Wielkanocnej stawialiśmy gigantyczny drewniany słup, trzymaliśmy kaskadera, przez którego przeskakiwał galopujący koń... Było ekstra. Na drugiej imprezie dostałem pieniądze, które prawdopodobnie były równoważnością dwóch tygodni pracy w Proximie i w ten sposób stałem się dobrze ustawionym życiowo, zamożnym człowiekiem, który mógł kupować zapiekankę z budki pod „Patykiem”, a z czasem pojechać nawet autobusem i pociągiem na wspinanie do Chamonix.

I jak to w życiu bywa, minęło dwadzieścia lat... Dwadzieścia lat podzielonych na jedenaście lat pracy na etacie w branży szkoleniowo-eventowej i około dziewięciu lat współprowadzenia z Przyjacielem własnej firmy. Ten czas mogę też podzielić na inne etapy i okresy, ale to co je z całą pewnością łączy, to obecność wspinania w moim życiu.

**Zadaję sobie pytanie
czy wspinanie było,
czy jest niezbędne
do wykonywania
mojego zawodu?
Z pewnością nie.**

W szerokim spectrum programów szkoleniowych, gier scenariuszowych zorientowanych na budowę zespołu i poprawę komunikacji – techniki linowe, bądź wspinanie, są tylko pewną opcją do wykorzystania. W tej branży ciągła chęć sprzedawania „linówek” mogłaby zaowocować zubożeniem programów i zamknięciem się w pewnej niszy. Przy naszych realizacjach korzystamy z potencjału różnych sportów outdoorowych, działań artystycznych oraz aktywności opierających się o planowanie, ustalanie strategii, współpracę, podział ról w zespole, delegowanie zadań itd.

Natomiast to dzięki wspinaniu zostałem instruktorem i trenerem. Te dwa wątki zawodowe (szkolenia i eventy oraz wspinanie) przeplatają się ze sobą od lat. Jeden jest w sumie przypadkowy, a drugi, o ile to możliwe w moim wykonaniu, zaplanowany. Zaplanowany w tym sensie, że odkąd się wspinam zawsze chciałem zostać instruktorem. Nie będę przytaczał wyświechtanego chińskiego porzekadła o spełnionych marzeniach, bo nie byłoby ono do końca właści-

we i prawdziwe. Chcę powiedzieć, że gdy na coś czekam i coś sobie wyobrażam, to coś, kiedy przychodzi, jest inne niż się spodziewałem. Nie lepsze i nie gorsze. Po prostu inne.

Do niedawna mówiłem, że wspinanie jest jakby systemem operacyjnym w komputerze, a na nim pojawiają się różne aplikacje w postaci różnych pasji. Teraz wiem, że wspinanie nie jest systemem operacyjnym tylko jedną z najdłuższą i najczęściej wykorzystywanych aplikacji. Tylko tyle i aż tyle.

Mój Dziadek będący człowiekiem, który we własnym mniemaniu wiedział wszystko najlepiej, twierdził, że podróżowanie to choroba i że nie ma potrzeby jeżdżenia gdziekolwiek, bo wszędzie jest tak samo. Kiedyś to stwierdzenie wyprowadzało mnie z równowagi. Dziś uważam, że we wszystkich używanych życiowych aplikacjach, obojętnie czy jest to patriotyzm, praca, wspinanie, żeglarstwo, fotografia, kajakarstwo, szermierka, jeździectwo, turystyka motocyklowa, czy co tam jeszcze można wymyśleć, chodzi o to samo. Po między tymi wszystkimi stanami i aktywnościami stawiam znak równości i naprawdę jestem po części gotów zgodzić się z Dziadkiem. Nauczyłem się nie robić z tych rzeczy kapliczki emocjonalnej i nie określać się za ich pomocą, nie budować domu na piasku tylko sięgać głębiej do skały.

Wielokrotnie przed osiągnięciem szczytu zjeżdżałem. Nie liczyłem tego, ale z pewnością mam na koncie więcej wycofów, niż udanych wspinaczek. Zrobiłem wiele błędów, podjąłem dużo złych decyzji, a kilku nie podjąłem tylko pozwoliłem, aby czas mijał. Wiele razy cofałem ręce przed darami i sam budowałem sobie przeszkody. Czy coś bym zmienił? Nie, ponieważ uważam, że te wszystkie sytuacje doprowadziły mnie do miejsca, w którym jestem dzisiaj. Ten czas i to miejsce jest najlepsze, jedyne jakie mam. Zdejmuję sandały, bo wierzę, że ziemia, na której stoję jest święta. Stąd mogę pójść dalej. Czasem zastanawiam się jak to możliwe, że z błędów i zaniechań może wynikać dobro, ale wierzę, że będzie dobrze.

Na koniec wspomnę o tym, że spotkałem się ostatnio z bohaterami dzieciństwa: Hanem Solo, Chewbaccą, Księżniczką Leia, Lukiem Skywalkerem, Terminatorem i Rockym. Wszyscy się zmienili tak samo, jak postarzał się niedościgniony Sokół Millenium. Księżniczka zmieniła fryzurę, Han Solo do końca trzyma fason, Chewbacca zrobił się nieco nieznoszny, Luk trochę pomnikowy, Terminator groteskowy, a Rocky kolejny raz zmierzzył się z filadelfijskimi kamiennymi schodami. Dzień za dniem, stopień po stopniu, krok za krokiem.



Jarek w pracy
fot. Jakub Radziejewski

Wspinacz sponsorowany

Marcin Yeti Tomaszewski

Zawód – wspinacz. W moim przypadku nie okazało się to wcale takie proste.

Zaczynałem w Szczecinie jako pracownik wysokościowy, zatrudniany u starszych kolegów z klubu. W kolejnych latach założyłem już własną firmę, która działa zresztą do dnia dzisiejszego. W międzyczasie poszukiwałem właściwej dla siebie drogi. Budowałem ścianki, zakładałem kluby wspinaczkowe i organizowałem miejskie imprezy.

Prowadziłem zarówno zajęcia gimnastyczne dla dzieci, jak i... pilates dla kobiet. Te ostatnie najbardziej

odbiegały od tego, co pragnąłbym robić, choć założyłem się, że niejeden mężczyzna chciałby się ze mną zamienić ☺. To wszystko w obiekcie „Geronimo Club”, położonym nie dalej niż dwieście metrów od sezonowej sceny w Jarocinie.

Po ukończeniu kursu instruktorskiego, zająłem się również szkoleniami. W ostatnich latach wyprodukowałem mobilną ściankę wspinaczkową, z którą odwiedzałem małomiasteczkowe i wiejskie pikniki. W ostatnim czasie otworzyłem internetowy sklep ze sprzętem wspinaczkowym.



W pracy
fot. arch. M.Tomaszewski

W ciągu 25 lat wspinania łapałem się przeróżnych prac bardziej lub mniej związanych z górami i sportem. Jak ognia wystrzegałem się stałej pracy i zawodów nie związanych z tym co potrafię robić najlepiej.

Udało mi się
nie zboczyć z kursu
i nadal trzymam się
blisko gór.

Kto wie, gdybym zajął się geodezją, która jest moim wyuczonym zawodem, może miałbym się lepiej? Odpuściłem jednak. Ten zawód zawsze wydawał mi się zbyt... płaski.

Skupiając się na wyczynowej wspinaczce, po pewnym czasie zostałem zauważony przez firmy z branży outdoorowej, które na wiele sposobów starały się pomóc w moich wyprawach.

Czy jestem wspinaczem zawodowym? Dziś moi sponsorzy pozwalają mi spokojnie jeździć w góry i nie martwić się o sprzęt. O życie zadbać muszę jednak już sam. Z tego właśnie powodu nie mogę sobie pozwolić na częste wyjazdy pomiędzy wyprawami. Rodzina ma swoje prawa. Czasami śmieję się, że jestem typowym wspinaczem weekendowym i jest w tym wiele racji.

Z jednej strony dobrze mi z tym, ponieważ nie czuję presji. Z drugiej – tęsknię.

Na co dzień, aby zarobić na rodzinę i wyjazdy łapię się przeróżnych, często dobrze płatnych, zleceń wysokościowych. A moje ekspedycje? Ich organizacja nie raz powoduje wielki ból głowy. Sporo tracę, gdy mnie nie ma, umyka mi wtedy wiele kontaktów i prac, co już dawno wpisałem w koszty swojej pasji.

Każdy wie
jak trudno
jest pogodzić
pracę z pasją.

Na szczęście nadal mi to się udaje, choć nigdy nie wiem, co przyniesie jutro.

www.marcintomaszewski.pl
Millet, Camp&Cassin, Zamberlan

Adventure filmmaker

Eliza Kubarska

Wspinać się i podróżować – te dwie rzeczy, dwa marzenia właściwie, nie są możliwe bez pieniędzy. Jeśli dodać do tego potrzebę tworzenia, pragnienie pozostawienia po sobie czegoś wartościowego, mogłoby się okazać, że mamy plan na życie w biedzie z głową w chmurach.

Mam za sobą
dwadzieścia
lat wspinania
i nie umiem
powiedzieć,
kim bym była, gdyby
nie góry i skały.

Wspinanie ustawiło mi wszystko: od męża po pracę. Skorzystałam z Akademii Sztuk Pięknych, ale nie mogłam zajmować się klasyczną rzeźbą, bo stało to w konflikcie z podróżami. A bez podróży nie ma dla mnie wspinania. Jedyne wyjście było połączyć marzenia. W ostatnich latach studiów zaczęłam pracować z kamerą. Miłośnią do fotografii zaraził mnie David Kaszlikowski (fotograf i wspinacz, dziś mój mąż). Na dyplom ASP (2004) zrobiłam video-instalację „Klatka”, do udziału w której zaprosiłam około dwudziestu wspinaczy.

„Chcę robić filmy dokumentalne związane z podróżami” – myślałam coraz częściej. Potrzebowałam jednak czasu, by nauczyć się zasad produkcji i znaleźć ciekawy temat na film. Poszłam do szkoły filmowej Andrzeja Wajdy, a w międzyczasie zostałam instruktorem wspinaczki. Otworzyłam sekcję dla dziewczyn, prawdopodobnie pierwsze takie w kraju (czy ktoś jeszcze pamięta, że nie tak dawno, wszechobecne dziś, „sekcje wspinaczkowe”, w ogóle nie istniały?). To przyjemne zajęcie umożliwiło mi przeżycie kilku lat. Jednocześnie jeździliśmy z Davidem na wyprawy, wytyczaliśmy

nowe drogi w górach i choć czasem udawało nam się znaleźć sponsora, to coraz ciężiej wiązaliśmy koniec z końcem. Pomiedzy podrózkami David sprzedawał zdjęcia, pisał artykuły, a ja szkoliłam. Nie było to wystarczające, by pokryć koszty wymarzonego życia. Powroty do polskiej rzeczywistości z egzotycznych podróży były coraz trudniejsze. W tamtym czasie podobało mi się wszystko, z wyjątkiem tych powrotów. Wspinać się i podróżować oraz robić filmy - nadal było moją mantrą.

Ale coraz wyraźniej dochodziło do mnie, że stałam się niewolnikiem swoich własnych marzeń, czy w ogóle możliwych do zrealizowania?

Kiedy w 2007 wróciliśmy z wyprawy na Grenlandię, byłam odmieniona. W fiordach „zielonego lądu” znalazłam to, czego szukałam. Pomimo złej pogody zdobyliśmy ogromny klif Qaqsarsuassia. Byłam dumna, że nie wymiękłam na kajakach, choć pot, łzy i lodowa-

te fale zalewały mi oczy. Widoki były przepiękne. Chmury pędzące przez fiordy, góry lodowe na morzu, wieloryby pod kajakiem, w końcu kilometry dziewiczych ścian. Ta wyprawa była pod każdym względem wyjątkowa i zainspirowała mnie do filmowej opowieści. Powstała historia miłosna ze wspinaniem w tle, mój filmowy debiut. Opowieść o nas.

„Co się wydarzyło na wyspie Pam” (2010 dla TVP1) zaprezentowane zostało na kilkudziesięciu festiwalach, zdobywając m.in. Grand Prix w Teplicach n. Mentuji czy nagrodę w Trento. Od tamtego czasu udało mi się zrealizować kolejne filmy. Na Borneo powstało „Walking Under Water” (2014). I choć ta historia nie miała nic wspólnego z górami (wręcz przeciwnie, bo stałam się nurkiem), to jej bohaterów, plemię morskich nomadów, poznałam w trakcie wspinaczkowej podróży po Azji! Najnowszy film „K2. Dotknąć Nieba” powstał w Karakorum. Jest próbą znalezienia odpowiedzi na pytanie, jak dużą cenę musimy czasem zapłacić za nasze marzenia. Film otrzymał piękne wyróżnienia: Grand Prix na górkim festiwalu w Kendal czy nagrody w Banff i Graz. Oba obrazy powstały w koprodukcjach międzynarodowych, otwierając nam okno na świat.

I tak oto dzięki wspinaniu, wreszcie stałam się filmowcem.



Eliza w pracy
fot. David Kaszkowski.com

Redaktor portalu wspinaczkowego

Piotr Turkot



Piotr Turkot, sir Chris Bonnington, Wojtek Słowakiewicz
fot. Adam Kokot/KFG

Prowadzenie portalu wspinaczkowego oraz organizowanie dużego festiwalu górskiego powoduje, że na co dzień mocno związany jestem z tematyką wspinaczkową. Choć nie jest to więź, o jakiej marzy większość aktywnych wspinaczy - czyli ładowanie i samo wspinanie - to i tak w wielu swoich aspektach przynosi satysfakcję i dużo pozytywnych wrażeń. Te negatywne również się zdarzają - ale to już inna historia.

Początkowo, pisanie newsów i wydawanie strony o wspinaniu było dla nas (czyli dla mnie i dla Wojtka Słowakiewicza) zajęciem hobbystycznym i wypełniało czas wolny od pracy w krakowskim wydawnictwie. Jednak po kilku latach zdecydowaliśmy, że poświęcimy temu zdecydowanie więcej czasu. Na starcie portalu pomogło nam bardzo doświadczenie, jakie wynieśliśmy z branży wydawniczej, w której nadzorowaliśmy

prace nad wieloma tomami encyklopedii, Wielką Historią Polski, czy też jedną z pierwszych multimedialnych encyklopedii na rynku. Wraz z rozwojem internetu rosła również pozycja wspinanie.pl i łatwiej było nam potraktować portal, jako najważniejszy nasz projekt.

Przez kilkanaście lat pracy wspinanie.pl ewoluowało - od strony www robionej dla grupy znajomych, po portal czytany zarówno przez wspinaczy, jak i ludzi spoza środowiska, zainteresowanych wydarzeniami góorskimi (głównie himalajskimi). Przy jego prowadzeniu pomaga i pomagało nam wiele osób z nieodwołanym śp. Januszem Kurczabem na czele. Obecnie, kluczową rolę w codziennej pracy redakcji odgrywa Dorota Dubicka, a newsami ze świata alpinizmu i himalaizmu wspierają nas Mariusz Wilanowski i Kacper Tekieli.

Dzięki wspinaniu bardzo mocno związaliśmy się również z szeroko pojętą branżą outdoor. Wspomniany Krakowski Festiwal Górski jest tego najlepszym przykładem. Nie byłoby tej imprezy bez naszej wspinaczkowej pasji i bez kontaktów, jakie przez lata nawiązaliśmy. Tworzenie imprezy, która łączy w sobie aspekty kulturalne i sportowe w 100% odzwierciedla nasze podejście do wspinania i gór. Wielką frajdę sprawia nam zapraszanie do Krakowa wspinaczy ze świata i z Polski, którzy są dla naszych widzów (i dla nas) inspiracją. Takie spotkania, jak choćby z Sir Chrisem Boningtonem, Alexem Huberem czy szalonym belgijskim trio braci Favresse i Seana Villanueva na zawsze pozostają w pamięci.

Nie obywa się to oczywiście, również bez przyprawiających prawie o zawał serca perypetii.

Nigdy nie zapomnę telefonu od Alexa Hubera, na którego prezentację mieliśmy już wyprzedane bilety – ponad 1400 osób na sali. Wszyscy mówią tylko o tym, jakie to będzie wielkie wydarzenie – a tu Alex dzwoni i komunikuje, że nie wpuścili go do samolotu z powodu *overbookingu*... Następne 15 minut kosztowało mnie wiele nerwów, bezskutecznych telefonów do wszyst-

kich świętych, aż w końcu ponownie zgłosił się Alex – „dostałem jednak miejsce – karta „Frequent Flyer” zadziałała!”.

Trochę innego typu przygoda, choć w sumie też „sercowa”, spotkała mnie z braćmi Favresse i Seanem Villanueva. Panowie, znani ze swojego rozrywkowego stylu życia, ale również wielkiej miłości do wspinania i gór, „zażyczyli” sobie wycieczki w góry następnego dnia po festiwalu, choćby na krótki spacer. Zdobyć Gęsiej Szyi zaliczam do swoich większych wyczynów – wykończony pracą przy KFG i wczesną pobudką – ledwo dotarłem na „górze”. Jednak *jam session* w wykonaniu Belgów, z widokiem na zalane deszczem Tatry wynagrodził wszystkie trudy.

Nasze portale i festiwal to przedsięwzięcia biznesowe. Najczęściej w prozaicznym tego słowa znaczeniu. Sprowadza się to do tego, że każdego dnia trzeba myśleć o ich finansowaniu. W dobie portali społecznościowych, wszechpotężnego Google’a, adblocków etc. wcale nie jest to łatwe. Ale to są normalne wyzwania, z jakimi mierzą się wszyscy – w innych branżach i profesjach.

Największym paradoksem jest to, że portal o wspinaniu zbyt często „odciąga” nas od treningu i regularnych wyjazdów w skały. To często jest frustrujące. Zwłaszcza gdy zawieszona w biurze chwytotablica pokrywa się pajęczynami. Jednak „delegacja” w nowy rejon skalny staje się, raz na jakiś czas, sympatyczną rekompensatą przypominającą nam, że jednak zajmujemy się WSPINANIEM!



Kuba w pracy
fot. arch. J. Rozbicki

wym w Rutkach. To były takie swoiste wyjazdy za miasto, trochę jak dolinki dla Krakusów. I jakość wspinania zaiste świetna.

Pasja wspinaczkowa ośwładnęła mną wówczas zupełnie. Nieważne jak, z kim – byle do góry. Mury, beton, skały, góry latem i zimą... Kilometry pokonanych pionów i przewieszzeń zaczęły procentować niezłą formą. Moje predyspozycje interpersonalne również pomogły w podjęciu ważnej decyzji i postanowiłem zająć się instruktazem. W tamtych czasach jedyną ścieżką do takiej drogi zawodowej były kursy PZA. Na pierwszą edycję, z racji wieku (miałem 21 lat) i miernego doświadczenia, nie zostałem przyjęty. Może to i lepiej, bo moja motywacja stała się znacznie silniejsza, a i świadomość większa, po spotkaniu się z ziemią. Lot z urwanym stanowiskiem zjazdowym o długości dwunastu metrów na Kuli w Kobylanach, pogruchotał solidnie mój kręgosłup. Wtedy pojawiła się myśl: „Chcę pokazać

ludziom, jak przeżyć i wspinąć się bezpiecznie”. Na kurs dostałem się dopiero w 1996 roku – za trzecim razem. Taka była wówczas rywalizacja i konkurencja – chętnych bardzo wielu, a miejsc raptem dziesięć. W grudniu 2002 roku zostałem instruktorem taternictwa.

Patrząc na moją przeszłość nie żałuję tamtych decyzji. Obecnie, zawodowo jestem w nieco innych obszarach, choć staram się je łączyć ze wspinaniem. Moją profesją stały się coaching i treningi biznesowe. Wspinanie jest wciąż integralną częścią mojego życia, nadal również zawodowego. Zbudowało moją świadomość w wielu obszarach, zarówno przy podejmowaniu decyzji życiowych, jak i wyważonego ryzyka. Jest pewnym wartościowym punktem odniesienia, wzbogaca i daje moc. Często hołduję maksymie, że bez wspinania byłbym kimś innym. Czy kimś lepszym czy gorszym? Trudno stwierdzić. Jednak na pewno człowiekiem mniej świadomym.

Instruktor tatrzański i skalny

Jakub Rozbicki

Zaczynałem od szczeniackiej miłości do Tatr. Dziecko uduchowione, wrażliwe, przeżywające. Przez góry i ich istnienie trafiłem do mojego macierzystego Klubu Wysokogórskiego Trójmiasto. Był rok 1989. Baszta Biała, w której znajdował się Klub, łączyła wówczas taterników gdańskich. Moje pierwsze kroki wspinaczkowe na brętowskich Murkach miały

miejsce w październiku tegoż roku. Było to miejsce szczególne. Długo by pisać, dawni bywalcy wiedzą o co chodzi i przyznają mi rację. Zajawka wspinaczkowa w tamtym czasie polegała na wyszukiwaniu nowych miejsc do wspinania i kuciu dróg w betonie lub cegle. Pierwsze ubezpieczone drogi w okolicach Trójmiasta powstały na starym betonowym prześle kolej-

Przewodnik

Maciek Ciesielski



Maciek w pracy
fot. Piotr Drożdż

Odkąd uświadomiłem sobie, że mimo wcześniejszych aspiracji nie będę inżynierem..., albo inaczej – od kiedy zrozumiałem, że nie jestem w stanie pracować dla kogoś, myślałem i mędrkowałem, jak tu żyć i móc się wspinąć jak najwięcej. Wniosek nasuwał się oczywisty: trzeba „żyć” ze wspinania. Jak to mój Tato zawsze mówił: „Nieważne synu co będziesz robił, ważne żebyś to lubił, bo wtedy będziesz robił to dobrze”.

Kiedy ma się dwadzieścia parę lat, nie jest to takie trudne, albo przynajmniej nie było. Dość duże granty z PZA oraz funkcja „nadszyszkownika”, dzięki której spędziłem wiele precudownych dni w koronach drzew, sprawiały, że bez problemu łączyłem koniec z końcem, a do tego spędzałem 250 dni na wspinaniu, na 3 różnych kontynentach w ciągu jednego roku.

Do tego miałem małe wsparcie, czasami nawet finansowe, różnych firm. Najdłużej ze strony Montano,

czego Tadekowi nigdy nie zapomnę i zawsze będę mu i jego firmie wiernie kibicował.

Kiedy w 2004 roku otrzymałem Nagrodę Zawady, czyli 9000 złotych w gotówce, to nie wiedziałem, co z taką ilością pieniędzy zrobić... Z perspektywy czasu, mając dwójkę cudownych dzieciaków, bardzo dobrze wiem, co bym z takimi pieniędzmi zrobił, i co gorsza – wiem jak niewiele...

**Można zatem powiedzieć,
że przez krótki moment byłem
„profesjonalnym wspinaczem”,
choć jak mawia klasyk:
„jaki kraj, taki
profesjonalny wspinacz”.**

Jednak człowiek dorasta, pojawiają się dodatkowe koszty, plany o rodzinie, a ponieważ szyski stały się mniej intratne, a rynek outdoor miał się gorzej, musiałem znaleźć jakiś inny sposób. Zacząłem pisać o górach najczęściej do „GÓR”. To był super okres i choć byłem na etacie, czego nigdy nie chciałem, każdemu życząc takich szefów, jakich ja miałem. Był to okres moich najlepszych wypraw, a do rzadkich nie należały rozmowy w stylu:

– Słuchaj Piotruś, jednak zdecydowałem się pojechać do tego Pakistanu...

– no, ale przecież mówiłeś wczoraj, że nie...

– no, ale jadę... i najgorzej, że jutro...

– Co?!... No OK, baw się dobrze i napieraj. Poradzi mi sobie...

Dwa razy zdarzyło mi się kończyć wywiad i go wysłać z Namche Bazar.

Pracowałem wtedy również jako instruktor PZA i chociaż bardzo to lubiłem, coraz częściej myślałem o zostaniu międzynarodowym przewodnikiem IVBV. Podczas szkolenia często się stoi albo wspina po łatwych, często tych samych drogach.

**A ja chciałem
w pracy robić fajne,
trudne drogi
i co najważniejsze
– pracować w Alpach.**

Dodatkowo, praktycznie wszyscy moi „idole” – zwłaszcza ci z dawniejszych lat – byli przewodnikami. Pojawiła się u mnie podobna myśl, do tej gdy miałem siedemnaście lat, kiedy robiłem kurs skałkowy u Szczepana Głogowskiego: muszę zostać instruktorem PZA, bo każdy dobry polski wspinacz zostaje kiedyś instruktorem. Dziesięć lat później okazało się, że wszyscy spotykani na wyprawach wspinacze (nie wspominając o tych z książek – Bonatiim, Rebuffattcie, Terray’u), byli przewodnikami. Tak więc decyzja była oczywista.

A decyzja nie była łatwa, bo wiedziałem, że będą to kolejne „studia” – tyle trwa kurs przewodnicki. Poza tym wiedziałem, że startuję z pozycji bardzo słabego studenta, jeśli chodzi o mój poziom narciarski.

Wiele razy przeklinałem swój wybór, gdy praktycznie przestałem się wspinąć zimą i tylko jeździłem na nartach. Ile razy moja duma została upokorzona, ile zniszczyła moja kochana rodzina, to będę wiedział tylko ja i moi najbliżsi. Dziś mogę powiedzieć, że jestem bardzo szczęśliwym człowiekiem, bo uwielbiam swoją pracę, a dodatkowo – i to chyba w tym najważniejsze – ciągle bardzo lubię się wspinąć i jeździć na nartach. A ci co mnie znają, wiedzą co mam na myśli.

Kiedyś ktoś mnie zapytał, co najbardziej lubię w swojej pracy – może to zabrzmi górnolotnie – ale uwielbiam momenty nawijania liny po przewodniku, kiedy czuję linę na sobie oraz gdy po kolacji w schronisku alpejskim, wraz z innymi przewodnikami, pomagam w kuchni wycierać naczynia. Wiem, że to zabrzmi śmiesznie, ale czuję się wtedy częścią jakiejś niezwyklej alpejskiej tradycji. A poza tym, mam już dzięki temu kilku fajnych przyjaciół, których poznałem właśnie pomagając chatarom.

Pracując z ludźmi, poznałem więc wiele interesujących osób. A ponieważ z reguły pracuję z tymi samymi klientami, to razem się rozwijamy – ja jako przewodnik, oni jako wspinacze lub narciarze. Z wieloma z nich mocno się zaprzyjaźniłem i bardzo sobie te relacje cenię.

Oczywiście mam też ogromną satysfakcję, kiedy jako przewodnik pokonam drogę, którą zawsze chciałem zrobić – dla siebie. Równie mocno cieszę się, gdy uda mi się pomóc zrealizować komuś jego górskie marzenie. Przyznam się, że wcześniej nie spodziewałem się, że będę mógł tak stosunkowo łatwo, uszczęśliwiać ludzi ☺.

Aktualnie jestem przewodnikiem specjalizującym się we wspinaniu, okazjonalnie szkołę – głównie we wspinaczkę lodową. Jestem też członkiem międzynarodowego zespołu firmy Arc’teryx – dostanie się do niego, to spełnienie kolejnego marzenia, ale to już inna historia ☺.

W 2015 roku Maciek w pracy wraz ze swoimi gośćmi pokonał między innymi kilka tatrzańskich VIII, Kombinację Wędrówki Dusz i Wariantów Małolata latem oraz Climb Machine zimą na Kazalnicy, Rosyjską Ruletkę na Progu WCK, Voyage selon Gulliver na Grand Capucin czy drogę Rebuffat-Terray na Col des Pelerins.

Instruktor wspinaczki sportowej

Bartek Jarosiewicz



Bartek w pracy
fot. Agata Karasiewicz

Jestem instruktorem wspinania sportowego. Pracuję na ściankach. Codziennie, a nawet kilka razy dziennie prowadzę sekcje, zajęcia indywidualne oraz zajmuję się planowaniem treningu.

Sprawa wydaje się prosta – ludzie, którzy do mnie przychodzą, chcą się lepiej wspiąć. Moja rola polega na pokazaniu tego, jak można się poruszać w terenie wspinaczkowym i przygotowaniu takich ćwiczeń, żeby wraz z rozwojem techniki, szła siła i wytrzymałość. Tyle w teorii. Ciekawie zaczyna być, gdy trzeba to wprowadzić w życie.

Myślę, że pracę instruktora można porównać do treningu samochodów. Tak, tak. Chce pan, żeby samo-

chód szybciej jechał – robimy siłę! A może chce pan, żeby samochód więcej przejechał na jednym baku paliwa – robimy wytrzymałość. A może samochód powinien sprawniej pokonywać zakręty – w takim razie pracujemy nad techniką!

Główna różnica polega na tym, że człowieka nie da się ot tak wzmocnić czy w inny sposób usprawnić. Pracuję z żywą materią. Daję narzędzia, pokazuję, jak działają, a do tego mówię kiedy ich użyć, żeby efekt był jak najlepszy. Ale w tym momencie potrzebna jest jeszcze motywacja. Zawodnik musi chcieć i musi to zrobić. Myślę, że właśnie na motywowanie poświęcam najwięcej energii.

„No dajesz, wstaw się jeszcze raz. Spróbuj może inaczej. Następny chwyt jest dobry. Ciśniesz, w tej wstawce się uda”. Używam wszelkich środków, żeby pchnąć do działania.

Trening to nie bajka, trzeba się sporo namęczyć, żeby coś poszło do przodu. Co więcej, progres nie jest liniowy i często na efekt trzeba poczekać. Z drugiej strony, trzeba znaleźć kompromis między progresem a przyjemnością. W mojej pracy chcę być rzetelny, ale nie jestem faszystą. Na treningu musi być miejsce na dawkę humoru i rozmowy odbiegające od przechwyty.

A jak wygląda w praktyce opór materii organicznej? Zawodnik prawdę ci powie:

– Połóg? Słyszałem, że w średniowieczu kobiety umierały w pologu. Chodźmy w dach!

– Bartek, na pewno tego się nie da zrobić statycznie?

– Ano nie da się, sprawdzałem...

– To może zmierzmy już tego balda.

– Dobra, dawaj szybko coś trudnego, bo czuję, że mam moc, która szybko minie.

– Bartek, a musimy robić ten boulder? Bo on jest głupi.

– Bartek, ile jeszcze będziemy robić tę wytrzymałość. Ręce mnie od tego bolą.

{ **Lubię swoją pracę.** }

Przychodzą do mnie ludzie, którzy chcą się rozwijać i robią coś, co im sprawia przyjemność. A ja mogę się produkować w temacie, w którym siedzę od lat i czuję się w nim całkiem dobrze.

Część pracy robię w tak zwanym czasie wolnym. Podczas własnego treningu układam boulderki na sekcje, testuję obwody, doбираю drogi pod konkretne treningi. A oglądając filmy z treningami zawodników, zastanawiam się, jakie ćwiczenia nadadzą się do sekcji średnio-zaawansowanej.

Kiedy robiłem kurs instruktorski, nie myślałem o szkoleniu. Robiłem go dla siebie, chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o wspinaniu. Po paru latach moje wspinanie coraz bardziej zwracało się w kierunku sportu. Lubiłem trenować i rozwijać się wspinaczkowo.

Gdy otworzyłem swoje pierwsze sekcje, okazało się, że czas spędzony w skałach i na panelu zaczyna procentować. Coś czego się nie spodziewałem, to fakt, że obserwowanie rozwoju moich podopiecznych może dawać tyle satysfakcji!



SPECJALISTA

Andrzej Mecherzyński-Wiktor

fot. Szymon Aksienionek

- Dwadzieścia tysięcy...

- ...!?
- Cztery topy na trójce, dwa na słabiej, a zwycięzca robi dwójkę; w sumie jedenaście topów w finale i Mózdek będzie czwarty. Dobrze zrozumiałem?
- Tak, ale...
- To właśnie tyle kosztuje, nic nie mogę poradzić. Chyba że kręcimy bez pajacyka, to wtedy osiemnaście.
- Nie, panie Alku, jak już udało się Pana zakontraktować to pajacyk musi być. Dobrze, dwadzieścia tysięcy, hotel i przelot. Dobrze, niech stracę. Cóż, to będzie dla nas zaszczyt.
- To już pański problem. Zatem – do zobaczenia?
- Do zobaczenia.

Samochód sunął lekko po Królowej Jadwigi. Droga była zaskakująco wąska jak na popularny dojazd do lotniska, za to obfitowała w przyjemne widoki. Po prawej stronie, na solidnym wzgórzu, piętrzył się Las Wolski, co jakiś czas zalatując smrodem zwierzyny z ukrytego pod jego konarami ogrodu zoologicznego. Z prawej wiatr poruszał tu i tam mgłą podnoszącą się znad Rudawy; pora była wczesna, gdyż pan Alek lubił zorganizowaną robotę. Na Salwatorze taksówka skręciła w prawo, przez chwilę nic nie było widać, albowiem Wisła wydychała ze swoich brzegów znacznie gęstsze opary. Jeszcze tylko most, rzut oka na postmo-

dernistyczną bryłę Zmartwychwstańców oraz widoczne zza wniesień skałki Zakrzówka i podróż dobiegła końca – zawody odbywały się w Centrum Kongresowym, które wygrało w przetargu z Tauron Areną za cenę kilku łapówek i dwóch stanowisk w zarządach upadających przedsiębiorstw państwowych.

Pośrodku rozległej sceny zebrał się tymczasem podenerwowany tłumik mężczyzn (wybitny chwytowy nie życzył sobie kobiet w zespole). Sława pana Alka kroczyła przed nim jak kraj szeroki, w związku z czym było powszechnie wiadomo, że nawet najmniejsze niedopatrzenie może fatalnie wpłynąć na przebieg całego tygodnia pracy. Pewność siebie któregośkolwiek z członków załogi była dalece zbyt niska, by bez strachu spojrzeć w oczy legendzie, nawet wzięwszy pod uwagę, że skrupulatnie wszystkiego dopilnowano. Paczki leżały ułożone zgodnie z podobieństwem kształtów i wielkością, a także kolorem oraz kątem przylegania do ściany, chwytów zalegały w kilkudziesięciu wanienkach (wymiały: 92x43,5x50cm), szpaksy przesypano do pudełeczek i rozłożono po cztery zestawy pod każdą formacją (plus dodatkowo woreczek ze szpaksami długimi). Przy wejściu za kulisy stały drabiny wszelakich rozmiarów i typów, również w skomplikowanym, zarazem jednoznacznie określonym porządku. Ścianę otaczał wianuszek ładowarek do akumulatorów, tak ażeby z żadnego jej fragmentu nie było dalej niż siedem metrów do najbliższej. Trudno było oczekiwać problemów, a jednak serca były niespokojne...



fot. Szymon Aksienionek

- Nie, proszę pana, to pan nie rozumie podstawowej rzeczy!

Dwa tygodnie temu przesłałem organizatorowi całą specyfikację dotyczącą organizacji miejsca pracy. Czasu było wystarczająco dużo na to, żebym teraz nie musiał przerywać roboty tylko dlatego, że taśmy leżą nie w tym miejscu, w którym powinny! Być może wy lubicie pracować z bajzłem wałającym się pod ścianą, ale powtarzam: mnie to nie obchodzi! Teraz wychodzę, wrócę za pięć minut i te rzeczy mają być uporządkowane.

- Tak, tylko...
- Tylko to! Nie wiem, o czym ja jeszcze z panem rozmawiam, więc do widzenia.

Trzeba przyznać, że atmosfera była napięta, ale sama robota – szła jak z płatką. Blaski mieszały się z cieniami. Przeciętny pracownik zespołu budził się o czwartej rano, piętnaście minut później miał obowiązek być na zbiórce. Przychodził jednak kilka minut wcześniej,

ażeby zza kulisy podziwiać Chwytowego – ten wstał widocznie wcześniej i teraz trwał samotnie pośrodku sceny, ze stoickim spokojem przeżywając płatki owsiane na wodzie, emanując hartem ducha i profesjonalizmem. Tym sposobem w oczach przeciętnego pracownika wzrastał i rozpałał chęć do niełatwej współpracy.

Podczas roboty trzeba było uważać na wiele rzeczy, chociaż nie o wszystkich Chwytowy raczył zebrać poinformować. Z tego względu pierwszy dzień okazał się bezsprzecznie najtrudniejszym, zwłaszcza po tym jak ktoś omyłkowo zapalił papierosa z paczki Pana Alka (palili niestety takie same). Szybko jednak dowiedziano się, że po internetach krąży skrypt z instrukcją obsługi trudnego szefa – skrypt taki wydrukowano zatem w odpowiedniej liczbie egzemplarzy, zaczęli starsi pracownicy rozdali go wszystkim, których mógł dotyczyć (czyli wszystkim), dzięki czemu liczba wpadek poczęła systematycznie maleć.

Każdy z kolei cenił sobie inną osobliwość pracy z Panem Alkiem – fanatyczne przywiązanie Chwytowego do ośmiogodzinnej dnia pracy, co w tym przypadku oznaczało długie, wolne popołudnia (prawda, że spędzane głównie na odsypianiu przedwczesnej pobudki). Pedanteria przełożonego działała na wszystkich irytująco, ale przecież nikt nie zaprzeczał, że kolejne etapy zamykane są grubo przed terminem – finał został w całości przykrycony, przetestowany i zabezpieczony pierwszego dnia,

półfinały poszły jeszcze szybciej. Działając od poniedziałku, we środę wieczór mieli gotowe praktycznie całe zawody – nie licząc czwartkowych poprawek oznaczało to dwa niespodziewane dni płatnego urlopu. Żeby było śmieszniej, za robotę przed szóstą rano naliczano stawkę nocną, podwojoną, co w wymiarze finansowym dawało ryczałtem dodatkowy dzień pracy znikąd.

Inna natomiast rzecz budziła zdumienie, a nawet pewien zawód. Popularne opowieści o znanych routesetterach kazały oczekiwać pysznej zabawy w przeciągu całego tygodnia, okupionej co prawda bezsennymi nocami i stresem, lecz w zamian skąpanej w alkoholu i innych oparach. Tymczasem Pan Alek zdawał się osobą nie tylko niezainteresowaną tego rodzaju podejściem do obowiązków, ale wręcz nastawioną do nich wrogo. Oto pierwszego wieczoru kilku śmiałków wybrało się na zwiedzanie Kazimierza, lecz gdy nazajutrz jeden z nich ośmielił się napomknąć o spożytych ilościach, został nie tylko zrugany, ale po prostu odsunięty od pracy (i wypłaty) na cały dzień. Nie oznaczało to zarazem zupełnej awersji Chwykowego do używek; zdradzał wyraźną słabość do kawy, ale przede wszystkim papierosów. Przy całej emocjonalnej powściągliwości okazywał nawet coś w rodzaju antypatii do ludzi niepalących. Czy był uzależniony, tego stwierdzić nie było sposobu, gdyż taki zakłada obserwację człowieka w chwili nikotynowego deficytu; tymczasem Chwytowy dawał w płucu regularnie i nigdy, tak jak w żadnej z innych kwestii, nie zaniebdywał obowiązku.

W sumie praca przy zawodach płynęła nurtem wartkim acz pozbawionym wirów, rodząc pewność co do finalnego sukcesu i potwierdzającym Pana Alkowi sławę znakomitego fachowca. Jak każdy mistrz miał on swoje osobliwości i przyznać należy jedynie, że były to osobliwości same w sobie – osobliwe.

– Ale to jest, chłopie, bomba!

- To jest totalna bomba! Stary, pomyśl! Największe zawody w historii, kilka milionów złotych budżetu, a my wyjeżdżamy z czymś takim!
- Z czymś takim, to mnie właśnie niepokoi! Trochę dużo tłustych misi trzeba będzie podrapać po brzuszku...
 - I chuj! Nie po to od dziesięciu lat robimy niepokorne media wspinaczkowe, żeby w takim momencie zachować się jak „wspinanie”!
 - No, niby tak. Ale z drugiej strony... Mamy minę, ale nie jesteśmy saperami, hmm?
 - Mamy minę. I jeśli za cenę tego, że sam na nią wleżę, wysadzę przy okazji kilku skurwysynów, to ja się na to piszę.

- Gloria Victis. Ja mam dzieci.
- No, masz... Ale czekaj! Przecież nie musisz tego robić ze mną! Nawet lepiej będzie zrobić to tak, słuchaj...
- ...
- Jeszcze dzisiaj zakładam nowy portal, publikuję tam całe nagranie, równolegle puszcza stream z zawodów, nawet bez żadnego montażu. I wszystko widać – rozumiesz? To się robi samo, jak gówno. Bo to jest gówno, swoją drogą. I nikt niczego nie jest nam w stanie zarzucić, bo my sami nic nie powiemy. Materiał mamy nie wiemy skąd, przyszedł do nas mejlem albo na fejsie, daliśmy go specjalistom, nie ma wątpliwości że jest autentyczny... Czyli, de facto, mamy dziennikarski obowiązek, tak? To znaczy – ja mam, bo to jest moja strona, ty nic nie ryzykujesz...
- A ja nic nie ryzykuję, bo żona, dzieci... I guzik z tego będę miał. Kuszące...
- Hi, hi, hi!
- Taa...
- Czyli co?! Puszczaamy?!!!
- Ano, kurwa, puszczaamy.

Prokurator był bardzo pewny siebie, tak pewny, że już przed przesłuchaniem miał gotowy kompletny szkic oskarżenia. Samo przesłuchanie miało być formalnością, kwestią złożenia przez złamanego człowieka podpisu pod dokumentem wykazującym bezsprzecznie jego winę. Bułka z masłem, łatwy proces niezależnie od klasy obrońcy. Pierwszy spektakularny sukces w karierze, co najmniej miesiąc udanego seksu z żoną, może nawet awans. Podarunek od losu.

Zdziwił się niezmiernie, kiedy Pan Alek wkroczył do zaniebdanego pomieszczenia takim samym stoickim krokiem, jakim – o czym prokurator nie wiedział – kroczył zawsze, a następnie ze spokojną miną zasiadł na wskazanym mu fotelu. Zawodowa intuicja zapaliła w głowie prokuratora lampkę o nieprzyjemnie rażącym świetle. Spodziewał się ofiary, a spotkał przeciwnika – nie było co do tego żadnych wątpliwości. Zdziwiłby się jeszcze bardziej na wieść, że jego gość postrzega sprawy nieco inaczej: to w nim – urzędniku Rzeczypospolitej – widząc ofiarę, mianowicie – ofiarę losu. W kwestiach zawodowych Pan Alek nigdy nie wątpił w swoje racje.

- A więc upiera się pan przy twierdzeniu, że zawody nie były ustawione.
- Nie upieram się. Informuję pana prokuratora, że nie były.

- Szanowny panie, przed chwilę przedstawiłem panu nagranie, na którym...
- ...na którym dzielę się z organizatorem zawodów moimi prognozami dotyczącymi wyniku zawodów. Pracuję w tym fachu kilkanaście lat, więc chyba mam prawo do własnego zdania, prawda?
- Niewątpliwie, niewątpliwie. Czy jednak nie wydaje się panu, he, he... dziwną, tak się wyrażę, zaskakującą koincydencją, jak zachodzi pomiędzy pańskimi, jak się pan raczył wyrazić...
- Prognozami.
- ...prognozami, a ostatecznym wynikiem rzeczonych zawodów? Nie chcę być złośliwy, tym niemniej... Proszę pana, nie ulega najmniejszych wątpliwości, że ustalił pan z organizatorem zawodów bardzo istotne szczegóły dotyczące wyników i że te ustalenia, by tak rzec, były elementem negocjacji dotyczących pańskiego późniejszego wynagrodzenia, że...
- Panie prokuratorze. Wysokość mojego honorarium nie była przedmiotem żadnych negocjacji, albowiem stanowi wartość stałą, o czym może się pan łatwo przekonać na podstawie umów o przygotowaniu problemów wspinaczkowych zawartych przeze mnie w przeciągu ostatnich czterech lat, które skądinąd mam przy sobie... Proszę!... i które, rzecz jasna, zostaną przedstawione jako materiał obrony na wypadek ewentualnego procesu. Do którego skądinąd zapewne nie dojdzie, wobec...
- Pan sobie kpi ze mnie! Jak pan to sobie wyobraża! W takiej sytuacji, w obliczu tak jednoznacznych materiałów?!
- ...wobec braku jakichkolwiek znamion popełnienia czynu zabronionego. Twierdzi pan, że zaistniała koincydencja pomiędzy moimi – następne słowo zostało wymówione ze szczególnym naciskiem – PROGNOZAMI, a tak zwaną rzeczywistością dowodzi ułożenia przeze mnie problemów w złej wierze. Jest przeciwnie...

Pióro nasze nie potrafi umiejętnie oddać jasności wywodu, który teraz nastąpił, nie chcemy również zameczać czytelnika ogromem przytoczonych szczegółów. Przez następne pół godziny Pan Alek tłumaczył coraz bardziej zdumionemu prokuratorowi, skąd znał zawczasu skład finału (czterech wchodził zawsze, poza tym było dwóch pewniaków z zagranicy), dlaczego Malinowski nie miał szans w połogu (bo to idiota) podobnie jak Nowak (nie te buty) i że zwycięzca musiał zrobić dwójkę, bo była nietrudna i koncepcyjnie prymitywna. Opowiadał o szczegółach z życia swoich kolegów – zawodników, dzięki znajomości których jest w stanie bezbłędnie ocenić, kto ma akurat załamanie formy po rozstaniu z dziewczyną, a kto dzięki znalezieniu nowej. Mówił o śliskich

stopniach i wspinaniu na Jurze, o tym że jedni spalają się w przedbiegach, a inni dopiero w trakcie startu... Mówił rozsądnie i rzeczowo, sprawiając wrażenie człowieka któremu nieledwie przykro, że wspinanie stało się sportem tak bardzo przewidywalnym, a przez to atrakcyjnym już tylko dla nieświadomej niczego gawiedzi. Na niego i takich jak on, prawda że niewielu, nie czekają już we wspinaniu żadne prawdziwe emocje.

– Rozumie pan? Oni po prostu tak się wspinają.

Oczywiście, mógłbym przygotować półfinał na samych połogach i wtedy ani Malinowskiego ani Nowaka nie byłoby nawet w finale, nie mówiąc o podium. Sęk w tym, że biorę pieniądze za coś innego. I są to niemałe pieniądze, więc muszę grać fair. Zawody mają sprawdzić uczestników na okoliczność wszystkich zasadniczych elementów wspinania, a ponieważ nasi zawodnicy nie notują z roku na rok ani progresu, ani regresu, więc...

Prokurator nie był człowiekiem szczególnej inteligencji, posiadał jej w sam raz tyle, aby opowieść Chwykowego zrobiła na nim kolosalne wrażenie (jak każdy prawnik, miał słabość do logicznej spójności), zarazem stanowczo zbyt mało dla podjęcia jakiegokolwiek dyskusji z – jak się najwyraźniej okazało – niepodważalnymi faktami. Poniósł też w życiu wystarczająco wiele porażek, w związku z czym potrafił przyznać się do błędu.

- No, tak... Cóż, nie ukrywam, przekonał mnie pan. A nawet, przyznam szczerze, zainteresowałam. Hmm... No, to chyba będzie wszystko. W takiej sytuacji, oczywiście, odstąpię od sporządzenia aktu oskarżenia, a nawet... Więc, tak! Nawet poproszę pana o wybaczenie, co?
- Tak. Rozumiem, że to już wszystko?
- Wszystko, wszystko... Prawie wszystko. Będzie pan łaskaw zdradzić mi jeszcze jedną rzecz z pańskiego, ehm, fachu?
- Zawodu.
- No, tak – zawodu, jasne że zawodu! Ten pajacyk wart dwa tysiące złotych, coż to takiego?
- Statyczny skok z w bok z jednoczesną kontrą nogą.
- ???
- *Spécialité de la maison.*
- A! Acha. Tak. Jasne... A skąd pan wiedział, że Janusz Mózdek będzie czwarty?

Twarz Chwykowego przybrała wyraz podziwu godnego politowania.

Podsumowanie tatrzańskie 2015/2016

Jakub Tkaczuk

Miniony rok obfitował w moc przejść z udziałem Klubowiczów, a porównując poniższe zestawienie z zeszłorocznym, Wam jako twórcom tego wykazu należą się gratulacje.

Tym razem nie można było zrzucić winy na „zły warunek”. Tydzień wspaniałej letniej pogody wykorzystał **Bartosz Kurowski**, który wraz z **Mikołajem Przybyło** z KWW poprowadził m. in. *Kastratora* na Młynarczyku. Był to mocny akcent na rozpoczęcie wakacji szkolnych i otwarcie taboru w Moku. W klubowych kuluarach słychać było szepty zazdrości: „Ach ten Kurowski, na pewno azerował!”.

Klasę pokazali też **Maciek Tertelis**, **Gosia Kusztelak** i **śp. Wojtek Wenta** otwierając *Alabamę* – nową linię na Mnichu. W okolicy Morskiego Oka mocno działali **Mikołaj Winiarski** i **Paweł Hałas** z KWK pokonując wspólnie kilka klasyków i mocnych dróg, w tym *Gacopyrz Now* na Kazałnicy Mięguszwieckiej.

W naszym wykazie nie zabrakło też przejść z dolin bardziej odległych, dróg mniej znanych, lecz nie mniej wspaniałych. Warto wspomnieć o zimowych przejściach Rumanowego Szczytu, Pośredniego Gerlacha, Jaworowego Szczytu czy Pośredniej Małolackiej Turni. Wszystkie przejścia zasługują na pochwałę i kolejne powtórzenia.

Oby więcej i oby częściej!

Wojtek Małowski podczas
przejścia linii *Bocek* na Małym Kieźmarskim Szczycie
fot. Jakub Radziejewski

Wykaz przejść tatrzańskich 2015 i 2015/2016

LATO 2015

Michał Górecki, Zuza Wycisk (KWW)
Mnich, *Superata Młodości* (VIII+/IX- RP)

Mateusz Kluźniak, Paweł Kowalski (n),
Piotr Pasim (n)
Wołowa Turnia, *Droga Stanisławska* (V+ OS)

Mateusz Kluźniak, Robert Sokołowski (n)
Mały Lodowy Szczyt, *Motyka* (V OS)

Łukasz Kowalik, Michał Bojarski (KWW)
Mnich, *Kant Klasyczny* (VI- RP)
Mnich, *Orłowski* (V- OS)
Zamarła Turnia, *Prawi Wrześniacy* (VI+ OS)
Zabi Mnich, *Wilczkowski* (VI- OS)

Marcin Księżak, Tomek Adamczyk (KWW)
Mnich, *Luftwaffe* (VIII+ RP)

Bartosz Kurowski, Tomek Osypiński (KW Toruń)
Młynarczyk, *Pasja* (VIII- OS)

Bartosz Kurowski, Michał Przybyło (KWW)
Kazałnica, *Pajęki* (VII+ OS)
Młynarczyk, *Kastrator* (IX- PP/RP), 4.07.2015
Mnich, *Wachowicz* (VIII- PP/RP)

Rafał Nawrot, Piotr Zaremba (KWW)
Kieźmarski Szczyt, *Płyty Kriššáka* (VI+ OS)
Łomnica, *Obrovský Pilier + Barborkine Slzy* (VII/VII+ OS)

Mieczysław Prószyński, Jan Bajtlik (KWW)
Zamarła Turnia, *Droga Klasyczna* (V RP)
Zamarła Turnia, *Zacięcie Komarnickich* (V/V+ RP)

Piotr Sochacki, Marek Głasek
Mięguszwiecki Szczyt Wielki, *Droga Surdela* (V+ OS)

Maciek Tertelis, Gosia Kusztelak, współautor
drogi: **Wojciech Wenta** (KW Szczecin)
Mnich, *Alabama* (VIII-, PP/RP, 1 p), 16.08.2015

Jakub Thiele-Wieczorek, Anna Bąk
Kościelec, *Lobby Instruktorskie* (VII- OS)
Zamarła Turnia, *Motyka* (V OS)
Zamarła Turnia, *Prawi Wrześniacy* (VI+ OS)

Aga Tyszkiewicz, Marek Kaliciński, Arek Koszek
Wołowa Turnia, *Droga Stanisławska* (V+ OS)
Wołowa Turnia, *Hwiezdowa Cesta* (VI+ OS)
Wołowa Turnia, *Puskas* (VI+ OS)

Aga Tyszkiewicz, Ewa Rams (n)
Kościelec, *Byczkowski* (V+ OS)
Kościelec, *Droga Stanisławska* (V-, OS)
Kościelec, *Lewy Dziędzielewicz* (VI, OS)
Zamarła Turnia, *Festiwal Granitu*, wyjście *Siadkiem* (VI+, OS)
Zamarła Turnia, *Motyka* (V, OS)

Mikołaj Winiarski, Paweł Hałas (KW Katowice)
Czołówka MSW, *Get Whacked* (VII OS, A2+ C1, 17h), 3.08.2015
Czołówka MSW, *Lewy Dziadek* (VI+ OS)
Czołówka MSW, *Prawy Dziadek* (VI+ OS)
Kazałnica, *Gacopyrz Now* (VIII/VIII+ PP/RP, 7pk), 12.08.2015
Kazałnica, *Kurtyka-Czyżewski* (VI+/VII- A3 RP)
Kopa Spadowa, *Pachniesz Brzoskwinia* (VII- OS)
Mnich, *Łapiński-Paszucha* (VIII- PP/RP)
Mnich, *Saduś* (VII- C1+)

Mikołaj Winiarski na Gacopyrzu, Kazałnica
fot. Łukasz Depta

ZIMA 2015/2016

Maciek Ciesielski,**Wojtek Maławski** (KW Kraków),**Jakub Radziejowski**

Jaworowy Szczyt (pn.), Żleb Stanisławskiego (6+ OS, 400 m, 7h40), 29.12.2015

Maciek Ciesielski,**Jakub Radziejowski**Mała Śnieżna Turnia, *Bublikova Cesta* oraz płn. zach. granią z wariantami (6 OS, 550 m, 8h), 11.12.2015**Maciek Ciesielski,****Piotr Sułowski** (KWW)Pośredni Gerlach, *Druga Stanisławskiego* (IV 550 m, 6h)Rumanowy Szczyt, *Lewy Filar* (5, 5h10)Wielicka Baszta, *Galfy* (6- OS)**Maciek Ciesielski z klientami**Kościelec, *Druga Stanisławskiego* (5 OS, 3h)Mały Kieźmarski Szczyt, *Komin Stanisławskiego*

(5+ OS, 6h30), 30.01.2016

Próg WCK, *Rosyjska Ruletka* (8- OS)**Maciek Kowalczyk,****Alek Barszczewski** (KWW)Łomnica, *Motyka* (5, WI4 OS)Ganek, *Filar Ganku* (5+ 1xA0),z **Tadek Grzegorzewski** (KWW)**Maciek Kowalczyk,****Sławek Szlagowski** (KW Poznań)Czołówka MSW, *Szare Zacięcie* (7/7+ OS)**Marcin Księżak,****Maciej Janczar** (KWW)Czołówka MSW, *Mały Komin* (6+ RP, 1pk), 3.01.2016**Jakub Radziejowski,****Wojtek Maławski** (KW Kraków)Mały Kieźmarski Szczyt, *Bockovy Lodospad*

(WI5, 250 m), 22.12.2015

Pośrednia Małolącka Turnia, *Dzik-Pronobis*

(6+ OS, 300 m, 6h), 04.02.2016

Zadnia Baszta, *Druga Zamkovskiego*

(5/5+ OS, 550 m, 6h), 07.01.2016

Jakub Thiele-Wieczorek,**Anna Bąk**Tępa, *Żebro Andrąši-Gálfy* (3 OS)Aga Tyszkiewicz
na Wołowej Turni
fot. arch. M. KalicińskiMaciek Tertelis
w trudnościach *Alabamy*
na Mnichu
fot. Piotr SztabaJakub Radziejowski w Żlebie Stanisławskiego,
Jaworowy Szczyt
fot. Maciek CiesielskiMichał Górecki na *Supercie Młodości*, Mnich
fot. Ł. Sidor

ARENA WSPINACZKOWA
WGORÉ

**najlepsze wspinanie
w najlepszej lokalizacji**

www.wgore.eu
ul. Merliniego 2, Warszawa
(22) 245 36 88

Wojny Pokoleń

czyli konflikty taternickie dwudziestolecia międzywojennego

Wojciech Bajak

Taternik podczas wspinaczki na południowej ścianie Ostrego Szczytu, 1938 r.
 fot. arch. Narodowe Archiwum Cyfrowe (nac.gov.pl)

Przed I wojną światową, z dziewiczego uroku odar-
 to niemal wszystkie tatrzańskie szczyty oraz więk-
 szość honornych ścian. Dziedzictwo zostawione
 kolejnym pokoleniom nie przedstawiało więc pozornie
 zbyt wielu możliwości wielkiego wyczynu taternickie-
 go. Nowa generacja, mimo to potrafiła znaleźć oryginal-
 ne źródła wspinaczkowych problemów. Ich pomysły nie
 zawsze jednak zachwycały poprzedników...

Spóźniony start

Inwokację nowej epoki stanowiło pierwsze prze-
 jście północnej ściany Koziego Wierchu dokonane przez
 Mariana i Adama Sokołowskich w 1921 roku. – *Problem
 był głośny, atakowany przed wojną przez taterników naj-
 lepszych, a tu od razu rozwiązali go jacyś początkujący.* –
 oceniał ponad dekadę później Jan Alfred Szczepański.



Marian Sokołowski

Starszy z tego braterskiego duetu „początkują-
 cych”, Marian, w dniu swojego pierwszego wielkiego
 sukcesu wspinaczkowego liczył jednak już przeszło 27
 wiosen. Niestety pierwsza z dwóch wojen światowych
 i konflikt z bolszewikami zabrały mu aż siedem lat z ży-
 cia. Wielu jego rówieśników miało podobne życiorysy.
 Dlatego też pokolenie narodzone pod koniec XIX wie-
 ku rozpoczęło podbój gór ze sporym opóźnieniem.



Mieczysław Świerż
 fot. Henryk Schabenbeck
 arch. Narodowe Archiwum Cyfrowe (nac.gov.pl)

– *Poważne wyprawy tatrzańskie nie należały w tym
 okresie do rzadkości, jednak ich inicjatorami byli prawie
 wyłącznie taternicy z przedwojennego znaku.* – biadał
 natomiast na samym początku lat 20-tych Mieczysław
 Świerż. Korpus środowiska nadal stanowili głównie
 wspinacze znani już z poprzednich dwóch dekad. Dys-
 ponowali ogromnym dorobkiem górskim i otoczeni
 byli wielkim nimbem. Może dlatego, usatysfakcjon-
 owani własnymi dokonaniem tak ochoczo wieszczili
 przyszłość wspinaczki poza Tatrami?

Zwrotnica

Horyzont możliwości, znany dotąd taternikom,
 wyznaczony został – według starszego pokolenia –
 przez pękaty rejestr pokonanych już najważniejszych
 szczytów i ścian. Marian Sokołowski jako pierwszy wy-
 stąpił jednak przeciwko tym dekadencym nastrojom
 w środowisku i przestawił zwrotnicę dziejów w sporto-
 wym kierunku. – *Myślę przede wszystkim o nowych, in-
 nych rozwiązaniach znanych już problemów taternickich.* (...) *Znaną jest rzeczą, że nawet najtrudniejsze
 ściany mogą mieć ich kilka i to zupełnie od siebie niezależ-
 nych, różnych co do długości, trudności i piękna (...).* – pi-
 sał trzy lata po swoim wyczynie na Kozim Wierchu,
 uchylając na dobre duchowi sportu okno na Tatry.

W poprzedniej epoce, przedłużonej też na pierw-
 sze lata po wojnie, wartościowy cel stanowiło tylko
 premierowe wejście, bo niosło ze sobą walor poznaw-
 czy. Dewiza ruchu olimpijskiego „Szybciej, wyżej, moc-
 niej” dotarła na skaliste wierzchołki z opóźnieniem.
 Wyżej już się iść nie dało, ale „szybciej”, a przede wszyst-
 kim „mocniej – trudniej”, stanowiło jeszcze puste szu-
 flady w taternictwie.

Wśród nowych perspektyw, malowanych przez
 Sokołowskiego, znajdowały się też niezdobyte jeszcze
 formacje, jak granie, grzędy, filary, co było początkiem
 „horyzontalizmu”, czyli wypraw graniowych, poprawy
 stylu powtórzeń, a także przechodzenia zimą letnich
 dróg. Tak w taternictwie rozpoczęła się pierwsza spor-
 towa era, nazywana „Sokołowszczyzną”.

Giewont na Sokołowskim

– *Taternictwo przede wszystkim jest sportem, gdyż
 odpowiada wszystkim wymaganiom, jakie stawiamy
 sportowi, a więc: 1) jest wykonywane jako rozrywka; 2)
 z zamiarem zatrudnienia i zmierzenia swych sił według
 ciała i ducha; 3) według pewnych zasad* – pisał Sokołow-
 ski w przełomowym artykule „O istocie i drogach roz-
 woju taternictwa”, który legł u programowych pod-
 staw „Sokołowszczyzny”. Nie uciekł mu też element
 rywalizacji: – *Mierzenie sił dokonuje się bowiem w tater-*

nictwie nie z innym człowiekiem, lecz z naturą nieujarzmioną lub samym sobą.

Dla wychowanych na neoromantycznej wizji taternictwa, taka postawa była prawie aktem barbarzyństwa. Stąd gromy w Mariana Sokołowskiego uderzały silniej niż w kopułę szczytową Giewontu.

- Taternictwo jest samodzielnym życiem.

– pisał ponad dekadę wcześniej Ferdynand Goetel. Dawni wspinacze, wychowani na tej wzniosłej wizji, czuli się więc raczej mentalnymi potomkami wielkich odkrywców Roalda Amundsena, Krzysztofa Kolumba, czy Charlesa Lindbergha i strażnikami własnego skrawka kuli ziemskiej. Cierpli zaś na samą myśl o umieszczeniu ich na jednej półce ze Zbyszkim Cyganiewiczem albo Wacławem Kucharem i zrównaniu Tatr ze stadionem. – *Dla ludzi tego sportu nie ma miejsca w taternickiej rodzinie, nic nas z nimi nie łączy, jak nic nas nie łączy z futbolem, boksem lub piłką wodną. Ludzie ci są intruzami w Tatrach, jak rodzina Dulskich na ścieżce zawratowej, jak fotograf minutowy na szczycie Rysów, jak rekordziści biegu wokół Morskiego Oka.* – stawiał kontrę do tez Sokołowskiego, Roman Kordys.

Przeciw żeberkom

Z tym ostatnim zdaniem zgadzał się pewnie też Mieczysław Świerz. Sam przecież kiwał głową z dezaprobatą nad „Chodem Tatrańskim” – pierwszym biegiem górskim w tym paśmie. – *To uboiskowanie gór!* – krzyczał wtedy. W taternictwie proponowanym przez Sokołowskiego mierzył go jednak zwłaszcza podział na mniej znaczące formy terenowe, jak grańki, filary, żeberka, czy podrzędne kulminacje, w celu zyskania przez młodzież rangi ich pierwszych zdobywców.

– *Taternik zatęskni znów za Gerlachem, Durnym, Mięgoszowieckim, Krywaniem* – prorokował. Ale nie zatęsknił... Taternictwo w wydaniu zaproponowanym przez Sokołowskiego rozwijało się całkiem płynnie. W tym duchu bracia poprowadzili między innymi drogi na wschodniej grani Kościelca, na pn-wsch. grani Mięgoszowieckiego Szczytu, środkiem północnej ściany Krywania, prawą częścią północnej ściany na Wielką Buczynową Turnię. Świetne, długo wspominane osiągnięcia, przyniosło też mocno promowane w okresie „Sokołowszczyzny” taternictwo zimowe. Należało do nich zwłaszcza pierwsze wejście znad Morskiego Oka na Mięgoszowiecki Szczyt Wielki.

„Taternik” kierowany przez Świerza długo odmawiał im prawa pierwszych zdobywców fragmentów urwisk bądź formacji, ich osiągnięcia klasyfikując pod hasłami „nowej drogi” bądź „wariantu”. Dopiero za czasów Jana Alfreda Szczepańskiego, przy kolejnych weryfikacjach listy przejść, otrzymali należne miana.

Sportowcy, taternicy, arystokraci?

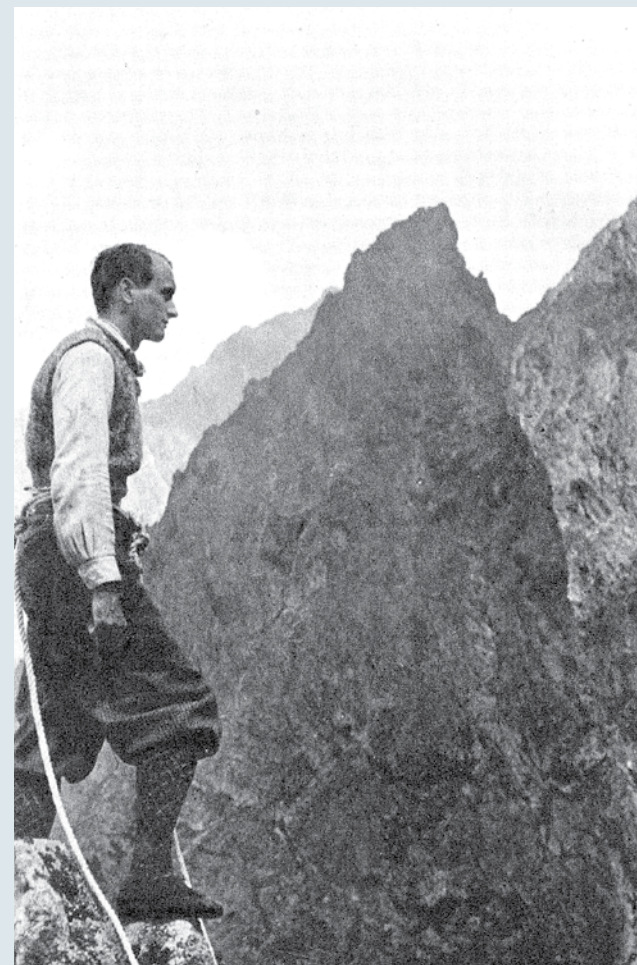
Bracia Sokołowscy znaleźli grupę znakomitych taterników z podobnymi poglądami. Wśród nich byli choćby Karol Wallisch, Jan Kazimierz Dorawski, Jan Durr, Jerzy Krókowski. Wspólnie założyli Sekcję Taternicką Akademickiego Związku Sportowego w Krakowie. Była to pierwsza w Polsce organizacja wspinaczkowa ze „sportem” w nazwie. W jej celach brakowało wprowadzić sportowych akcentów, ale już wśród środków znajdowały się „ćwiczenia, mające na celu osiągnięcie wysokiej sprawności technicznej”, a także „założenie składnicy artykułów sportowych”. Pierwsi w dziejach wyznaczali też warunki przyjęć do swojego grona. Kandydat musiał się wszak wykazać przynajmniej trzema dość trudnymi wspinaczkami letnimi. Kordys widział w tym jednak arystokratyzację taternickiej elity.

To nie Sokołowscy byli inicjatorami powstania Sekcji. Dołączyli oni do Jana Kazimierza Dorawskiego, Karola Wallischa oraz Jana Alfreda Szczepańskiego, lecz ze względu na charyzmę, wyższą pozycję zawodową, a także sukcesy wspinaczkowe, w 1924 roku to właśnie Marian Sokołowski został jej pierwszym prezesem.

Być może przez to urażony „Jaszcz”, prawie dekadę młodszy od Sokołowskiego, z początku otwarcie nie zgadzał się z programem „Sokołowszczyzny”. – *Sport dzisiejszy zatracca coraz wyraźniej cechy indywidualności poszczególnych jego wykonawców – alpinizm krzesze je pracowicie i troskliwie pielęgnuje.*

Był jednak w swoim pokoleniu w tym buncie osamotniony. Wkrótce zresztą przeszedł na drugą stronę barykady, stając się jednym z największych stronników sportu taternickiego: – *My nie ukrywamy wstydlivie: że współzawodnictwo jest głównym motorem naszych zwycięstw, że zależy nam na sławie i uznaniu (co prawda jeszcze tylko do rodziny taternickiej ograniczonym) i że zyskanie rekordu jest dla nas walnym urokiem czynnej turystyki.* Gdy zaś „Sokołowszczyzna” wytracała impet objął przewodnictwo nad pokrewną w poglądach Grupą Syfonów – *Syfonom należy przyznać (...) zasługi (...) ugruntowania i umocnienia sportowej ideologii taternictwa.* – dowodził ponad pół wieku potem. On też jako pierwszy przewidział stworzenie klasyfikacji taterników wzorem innych dyscyplin, na wiele lat przed wprowadzeniem przez PZA klas.

Seniorów najmocniej jednak uwierał nie Marian Sokołowski, ani Jaszcz, lecz Jerzy Leporowski. – *Idealem ich – człowiek-mucha* – przedstawiał Roman Kordys najgorszy sort nowej generacji – wspinacza z wielkimi umiejętnościami, ale bez znajomości Tatr. Taki typ reprezentował właśnie Leporowski. Samotnie, bez asekuracji w dobrym czasie przechodził większość najtrudniejszych dróg. Brakowało mu zaś biegłości w topografii. Jego osiągnięcia spopularyzowane przez prasę codzienną zapewniały mu sporą popularność, co budziło sprzeciw Kordysa. Ostatecznie, solista zginął podczas wspinaczki na Kozim Wierchu.



Wiesław Stanisławski na Małej Śnieżnej Turni
fot. Henryk Mogilnicki (żr. *W skałach i lodach świata* t. I)

Coś do udowodnienia

Równoległe do kierunku sportowego wprowadzonego przez Sokołowskich na uboczu tliło się jeszcze taternictwo epigonów przedwojnia. Kropkę na działalności wspinaczkowej tej grupy ostatecznie postawiło jednak wejście kolejnego – po „Sokołowszczyźnie” – pokolenia.

W sierpniu 1928 roku Wiesław Stanisławski oraz Justyn Wojsznis wytyczyli pierwszą drogę na zachodniej ścianie Kościelca. Razem wzięci mieli wtedy mniej lat niż jeden Świerz. Dawny mistrz, pojawił się nad Czarnym Stawem Gąsienicowym niecałe jedenaście miesięcy później. Początkowo planował wyprawę na Orlą Basztę. Ostatecznie zdecydował się jednak właśnie na Kościelec.

Próba utrzymania wiodącej pozycji w taternictwie przez „Ostatniego Mohikanina przedwojnia” zakończyła się jednak tragicznie. Podczas przechodzenia drogi ukruszył się uchwyt, lina zwisająca na ostrym bloku nie wytrzymała potężnego szarpnięcia i Mieczysław Świerz spadł 70 metrów w dół, ponosząc śmierć na miejscu.

Inny konflikt

Szczęśliwie taki dramat na ogół rzadko kończył panowanie w taternictwie, choć przekazywanie władzy między kolejnymi generacjami bywało równie burzliwe, co w królewskich dynastiach.

Nowy okres na dobre rozpoczęło wejście Wiesława Stanisławskiego, Bronisława Czecha oraz Marzeny Skotnicówny północną ścianą Żabiego Konia w 1929 roku. Miejsce w loży „seniorów” zajęli w tym rozdaniu zaś przedstawiciele „Sokołowszczyzny”. Rewolucyjny duch w taternictwie uspiony wcześniej przez ponad półtorej dekady, ożywił się więc po raz drugi w ciągu zaledwie pięciu lat.

To był jednak inny konflikt niż między „sportowcami”, a pokoleniem Świerza i Kordysa. Na początku ledwie się tlił. Nowa generacja nie różniła się przecież zanadto od

poprzedników w warstwie ideologii. Sam Stanisławski wprawdzie początkowo odznaczał się od rekordów jako motoru napędowego, ale dwa lata potem już otwarcie przyznawał się w „Przeglądzie Sportowym”: – *Taternictwo jest sportem przestrzennym (...). Odnalazłszy w sobie te wszystkie „momenty sportowe” taternictwo postawiło sobie, jak wszystkie sporty, jasny i twardy cel: rekord.*

Jak ważny w tym pokoleniu był wyczyn, świadczył też projekt nowej skali trudności. Wiesław Stanisławski do stworzonej przez Mieczysława Świerza klasyfikacji dodał dziewiąty stopień – „drogi skrajnie trudne”.

Sztuczny detonator

Początkowo, główną różnicą było więc psychiczne podejście do gór. Generacja Stanisławskiego pojawiła się w Tatrach pozbawiona respektu dla wielu problemów klasyfikowanych wcześniej jako niemożliwych do pokonania. Stąd wynikał tak szybki, pełen rozmachu, a co najważniejsze skuteczny atak. Trudność pokonywanych miejsc sprawiła zaś, że nowe pokolenie nazywano propagatorami „taternictwa akrobatycznego”.

Podnoszenie poprzeczki w zgodzie z wcześniej obowiązującą ideologią sportową opóźniło więc bunt pokoleniowy. Pokojowe współistnienie zostało jednak bardzo gwałtownie przerwane. Konflikt zdetonowały nie słowa jak po manifestcie Sokołowskiego, lecz czyny.

Granice pokoju przekroczył Stanisławski na wschodniej ścianie Mnicha, gdy zdecydował się użyć, pierwszy raz w dziejach rodzimego taternictwa, metody sztucznych ułatwień. – *Praca alpinistów tego rodzaju bardzo podobna do pracy monterów wznoszących szkielet drapacza chmur.* – pisał oburzony Jan Kazimierz Dorawski.

Profesjonalny cień

Wschodnia ściana Mnicha była pierwszym punktem tej pokoleniowej kampanii wojennej, ale wcale nie ostatnim. Wiesław Stanisławski czuł się bowiem coraz bardziej swojsko z przyklejoną łatką sportowca i używał tego określenia nawet z pewną dumą. Wzorem innych dyscyplin rozpoczął też batalię o nadanie najlepszym wspinaczom statusu „profesjonalisty”.

– *Drugim cieniem [sezonu – od aut.] jest pojawienie się wśród taterników dzikiego profesjonalizmu (...). Ujawniła się grupa prowadząca chętnych nawet na najtrudniejsze wspinaczki, ale za pieniądze.* – twierdził Jan Alfred Szczepański w „Przeglądzie Sportowym”. Za wspinaczkę drogami nadzwyczaj trudnymi, Stanisławski i jego koledzy pobierali po 50 złotych od klienta, co umożliwiało im długie pobyty w Tatrach.

Sam „Jaszcz” po przemyśleniu przyznał jednak, że to może dać rzeczywiście lepsze wyniki. Starych obyczajów twardo bronił nadal za to Adam Sokołowski:

– *Dążenie do wprowadzenia profesjonalizmu do taternictwa godzi w jeden z jego najistotniejszych walorów, tj. bezinteresowność materialną. Jest próbą odarcia tego najsłabszego ze sportów z jego ideologii opartej na młodzieńczej żądzy czynu, uśmiałowienia piękna w jego naturalnej, pierwotnej postaci.* Dyskusja wykroczyła nawet również poza taternictwo i weszła na łamy wielu gazet.

Akrobaci bez respektu

Spór ten przeżył inicjatora, bo Stanisławski kilka miesięcy po swej deklaracji zginął na Małym Kościele. Pokolenie „taterników – akrobatów” doprowadziło na wyżyny rekord sportowy, ale i stopień ryzyka, co zaowocowało 11 ofiarami śmiertelnymi, już w czasach panowania generacji Stanisławskiego. Brawura i brak respektu były kolejnym punktem zapalnym, dzielącym oba pokolenia.

**- Stwierdzam
u nowoczesnych
taterników
brak bojaźni gór.**

– twierdził twórca „Sokołowszczyzny”. Krytykował też nadmiar ambicji, wspinanie się z amatorami, samotne wyprawy, brak treningu, złe odżywianie, czy niewłaściwe używanie sprzętu. Zgadzał się z nim też dwa lata starszy Rafał Malczewski: – *Zmieniło się coś w psychice taterników.*

Syna słynnego malarza najmocniej poruszył wypadek innej młodej sławy polskiej wspinaczki, Zbigniewa Gieysztor. Po pierwszym zimowym wejściu na Żabi Szczyt Wyżni w kwietniu 1930 roku i ciężkim biwaku w ścianie utonął w potoku, zostawiony przez kolegów, wśród których znajdował się też Stanisławski. – *Trudno wyobrazić sobie coś podobnego za czasów świetności poprzednich pokoleń taternickich (...). Inne więzy łączyły taterników* – komentował Malczewski psiocząc na zanik solidarności w młodej generacji.

Iskry między wspinaczami

Taternictwo było raczej przez długi czas wolne od bezpośredniej rywalizacji. To również zmieniło się za sprawą nowego pokolenia.

Zarówno Stanisławski, jak i inny z czołowych wspinaczy, wychowanek ST AZS, Wincenty Birkenmajer,



Uczestnicy wyprawy Jan Alfred Szczepański, Konstanty Narkiewicz-Jodko, Witold Wyszynski, Jerzy Gołcz, Jan Dorawski w Chamonix, 1931 r.

fol. arch. Narodowe Archiwum Cyfrowe (nac.gov.pl)

w tym samym terminie za cel obrali sobie dziewiczą zachodnią ścianę Łomnicy. Nazajutrz, ten drugi przypadkowo obudził kogoś z zespołu rywali. – *Nim moi towarzysze wstali, tamci już wypili herbatę. I zaraz pogнали pod ścianę. Fatalność: daliśmy się ubiec! Ściągać się teraz z nimi?? Za nic! To niegodne taternika! To małoduszność! Niech leca! Niech zwyciężą!*

Stanisławski skutecznie przeprowadził swój atak, ale wkrótce powód do chwały zyskał też Birkenmajer. Jego droga, wytyczona na innej części tej samej ściany, została bowiem poprowadzona z większym rozmachem. Dzięki temu uzyskała tytuł największego wyczynu w Tatrach. Pod względem metryki, Birkenmajer o dziewięć lat przewyższał Stanisławskiego, a zarazem szczerze za nim nie przepadał.

Niedługo po nieszczęsnym wyścigu na Łomnicę, młodszy z dwóch czołowych taterników po prostu wyśmiał twórcę konkurenta oraz jego alpejskie osiągnięcia. Sprowokowany tym Birkenmajer zdobył się na równie ostrą odpowiedź. Sprostowanie liczyło aż 20 punktów i przypominało bardziej akt oskarżenia. Swemu adwersarzowi zarzucił celowe umniejszanie sukcesów rywali, kłamstwa, nieetyczne wspinanie, a także brak choć jednej samotnej wspinaczki w dorobku. Na koniec wbił mu zaś bolesną szpilę związaną z wyjazdem alpejskim: – *Ci, którzy swego czasu najwięcej się przyczynili do zdobycia*

zach. ściany Łomnicy środkiem urwiska, dziś mają w swoim dorobku p.d. ścianę Meije, która jako całokształt wyczynu przewyższa Łomnicę o całe niebo. Mogą więc już na Tatry patrzeć z perspektywy czasu i ewolucji. Nie znaczy to jednak, by tym samym dali p. W. Stanisławskiemu prawo do niezgodnego z rzeczywistością oświeclania swoich i jego zdobyczy i rozwiązań problemów taternickich.

Konflikt jednak nie potrwał długo. Tak lider nowej fali, jak i wychowanek „Sokołowszczyzny” ponieśli śmierć w odstępie kilku miesięcy w 1933 roku.

★★★

Mylił się Kordys, mylił się Świerz, mylili się Sokołowski i Szczepański, mylił się Stanisławski, Dorawski i Birkenmajer. Historia taternictwa okazała się pojemniejsza niż przypuszczała którakolwiek z tych zasłużonych postaci i jednocześnie uchroniła od zapomnienia dorobek każdego z nich.

Cóż, pomyłki zdarzają się największym...

Publikacja zdjęć za zgodą
Narodowego Archiwum Cyfrowego
(<http://nac.gov.pl/>)



Podsumowanie sportowe UKA AD 2015

Bartek Jarosiewicz



Agnieszka Passowicz na estetycznej *Orage au désespoir* (6a)
w jednym ze sportowych sektorów Verdon – Les Hauts-Vernis
fot. Marta Czajkowska

Mam przed sobą przejścia sportowe Klubowiczów z 2015 roku. Jest ich dużo, szczególnie panie są reprezentowane liczniej niż w poprzednim roku. Trzy rzeczy, które rzucają się w oczy, to: panie – wyraźnie mocniej, panowie – w zawodach boulderowych świetnie, ale już w skałach trochę słabiej.

W tym roku do podsumowania załapało się dwie kobiety – to prawie dwa razy więcej niż rok temu. Przejścia też są zdecydowanie mocniejsze. Do elitarnego grona „kobiecego 8a” dołączyła **Ania Thiele-Wieczorek**. Trudności takie pokonała dwa razy – raz na Jurze, raz na „Weście”. Do tych przejść dołożyła sześć dróg w stopniu VI.5; a gdybym wymienił wszystkie jej 7b+ i 7b, to osiągnięcia Ani zajęłyby ponad połowę tego wykazu. Swoje pierwsze 7c+ zrobiły **Iwona Burawska** i **Ewa Załuska**. Ewa miała już na swoim koncie VI.5, ale nigdy za granicą. Dla Iwony był to wyraźny progres.

Nasi zawodnicy licznie startowali w tym roku w zawodach Pucharu Polski w Boulderingu, prezentując imponujący poziom. Na co najmniej dwóch imprezach dziesiątka spośród dwudziestu półfinalistów była z UKA. Podobna sytuacja miała miejsce w finałach w Gdańsku – całe podium należało do naszego Klubu. Odzwierciedlenie tych wyników widać w Rankingu PZA: w konkurencji Boulderling trzy pierwsze miejsca zajmują: **Kuba Jodłowski**, **Szymon Łodziński** i **Kuba Główa**. Szymon zaliczył w tym roku pierwsze zwycięstwo w zawodach boulderowych PP w Łodzi. Jodłowski

zwyciężył w Gdańsku. W zawodach z liną nasz Klub godnie reprezentował w tym roku **Michał Marines Łodziński**, wskakując w Toruniu na podium.

W skałach faceti radzili sobie nieźle, choć po poprzednich latach można mieć lekkie niedosyt. W pierwszej kolejności warto zwrócić uwagę na młodzież: **Jerzego Laskowskiego** i **Filipa Chrapowickiego** – chłopaki cisną i pewnie niebawem zaczną dokopywać starym wyjadaczom. Najlepszym OŚem, na poziomie 8a+, może pochwalić się Szymon Łodziński, a 8a w tym samym stylu pokonał jeszcze **Rafał Pawiński**. Jeśli chodzi o RP, to jedynie **Stefan Madej** „otał się” w tym roku o 8c, robiąc *Geminisa* 8b+/c. Niestety, na Jurze w tym roku Stefan wypadł słabutko – tylko 4 x VI.6 ☹.

Najciekawsze przejścia boulderowe w skałach należą do **Michała Wojewódzkiego** i **Mikołaja Nowotnika** – tylko oni w 2015 roku zapisali na swoich kontach 8A, obaj w Magic Wood. Wśród boulderującej młodzieży w skałach błyszczał **Tomek Zacharewicz**. W zestawieniu znalazły się też trzy osoby, które poza „plastik” nie wychyliły nosa. **Kaja Matejek-Zarębska** regularnie startowała w Pucharze Polski, lądując ok. 10. miejsca, a Główek i Jodłowski, poza startami w Polsce, reprezentowali nas także za granicą, punktując w boulderowym Pucharze Świata.

Plotka głosi, że nasz czołowy Patagonista Wernix ostrzy sobie zęby na VI.5, więc nie zdziwcie się, jak w przyszłym roku podniesiemy poprzeczkę o „plusa” wyżej, żeby tradycyjnie się tu nie załapał...



Mikołaj Nowotnik na problemie *Super Supernova* (7C+) w Magic Wood
fot. Małgorzata Górską



Michał Kulpiński na drodze *Philippe Cuisinier* 8b/b+ w Rodellarze
fot. Stefan Madej

Ania Thiele-Wieczorek**OS**

7b *Sevasti*, Kalymnos
 7b *Daphne*, Kalymnos
 7b *Lucky Strike*, Kalymnos
 7b *Alcinoo*, Kalymnos
 7b *Omiros*, Kalymnos

RP

8a *Helios*, Kalymnos
 VI.5+ *Gorączka sobotniej mocy*, Jura
 7c+ *Neska Polita*, Kalymnos
 7c+ *Amores Perros*, Telendos
 VI.5 *Modus Ponens*, Jura
 VI.5 *Ommadawn Direct*, Jura
 VI.5 *Brutalny trucht*, Jura
 kilkanaście 7b+

Kaja Matejek-Zarębska**Zawody**

8. miejsce, PP w Boulderingu, Zakopane
 10 miejsce, PP w Boulderingu, Łódź
 11 miejsce, MP w Boulderingu, Warszawa
 12 miejsce, PP w Boulderingu, Gdańsk

Marta Czajkowska**OS**

7b *Magne ma voie, touche ton cul*, Saint-Léger
 7b *Joe's Rasnugueth manettes*, Saint-Léger
 7a+ *Belly Full*, Koh Yao Noi
 7a+ *Draculin*, Margalef
 7a+ *Entsafter*, Frankenjura
 VI.3 *Darmozjad*, Jura

RP

VI.5 *Odlot proroka*, Jura
 7c *Corporacio antiestetica*, Margalef
 7c *So Weak, So Strong*, Koh Yao Noi
 7b+ *Les couleurs du charme*, Chateauvert
 VI.4 *Zawód czy charakter*, Jura

Ewa Załuska**RP**

7c+ *Via Viciosa*, Rodellar
 VI.5 *Murarz IV*, Jura
 VI.4 *Mile złego początku*, Jura
 7b *Caprichos de lujuria*, Rodellar
 VI.4 *Rekin*, Jura

Iwona Burawska**OS**

7a *Il buongiorno si vede dal mattino*, Sycylia

Flash

7a+ *Banana Biologica*, Sycylia

7a *Quanto crucco seil*, Sycylia

7a *Bat Killer*, Sycylia

VI.3 *Pożegnania z broną*, Jura

RP

7c+ *Red Alert*, Sycylia

7c *Pipeline*, Sycylia

VI.4+ *Leśne echa*, Jura

7b+ *Figlia di nessuno*, Sycylia

VI.4/4+ *Warszawskie lekcje*, Jura

Agnieszka Cudna-Ryczer**OS**

7a+ *Sendero sinuoso*, Chulilla

7a/a+ *Miguel Gomez*, Chulilla

7a *Richar line*, Chulilla

7a *Plan "Z"*, Chulilla

7a *Vitez iz Poljan*, Osp

RP

7c *Nivelungalos*, Chulilla

VI.4+ *Prostowanie sprawdzianu z refleksu*, Jura

VI.4/4+ *Wolant*, Jura

VI.4 *Manitua*, Jura

VI.4 *Strzał w dziesiątkę*, Jura

Marianna Syrokomska-Kantecka**OS**

7a+ *Verikoko*, Kalymnos

7a+ *Haunted Castle*, Kalymnos

7a *Sens Unique*, Kalymnos

7a *Pame Hilti*, Kalymnos

7a *Biloute*, Kalymnos

7a *Crack*, Kalymnos

RP

7c *Padroni e Pagliacci*, Kalymnos

7b+ *Thetida*, Kalymnos

Gosia Kusztełak**RP**

7c *Atomkraftwerk B*, Frankenjura

7c *Porcupine*, Frankenjura

7b+/c *Diebesloch*, Frankenjura

7b+ *Sledgehammer*, Frankenjura

7b+ *Beavis and Buttthead*, Frankenjura

7b+ *Pickelsau*, Frankenjura

Zuzanna Maciejczyk**OS**

7a *El balcón andaluz*, Rodellar

RP

7b *Caprichos de lujuria*, Rodellar

7b *Reksi*, Osp

7a+ *Coco Loco*, Rodellar

7a+ *Venim*, Rodellar

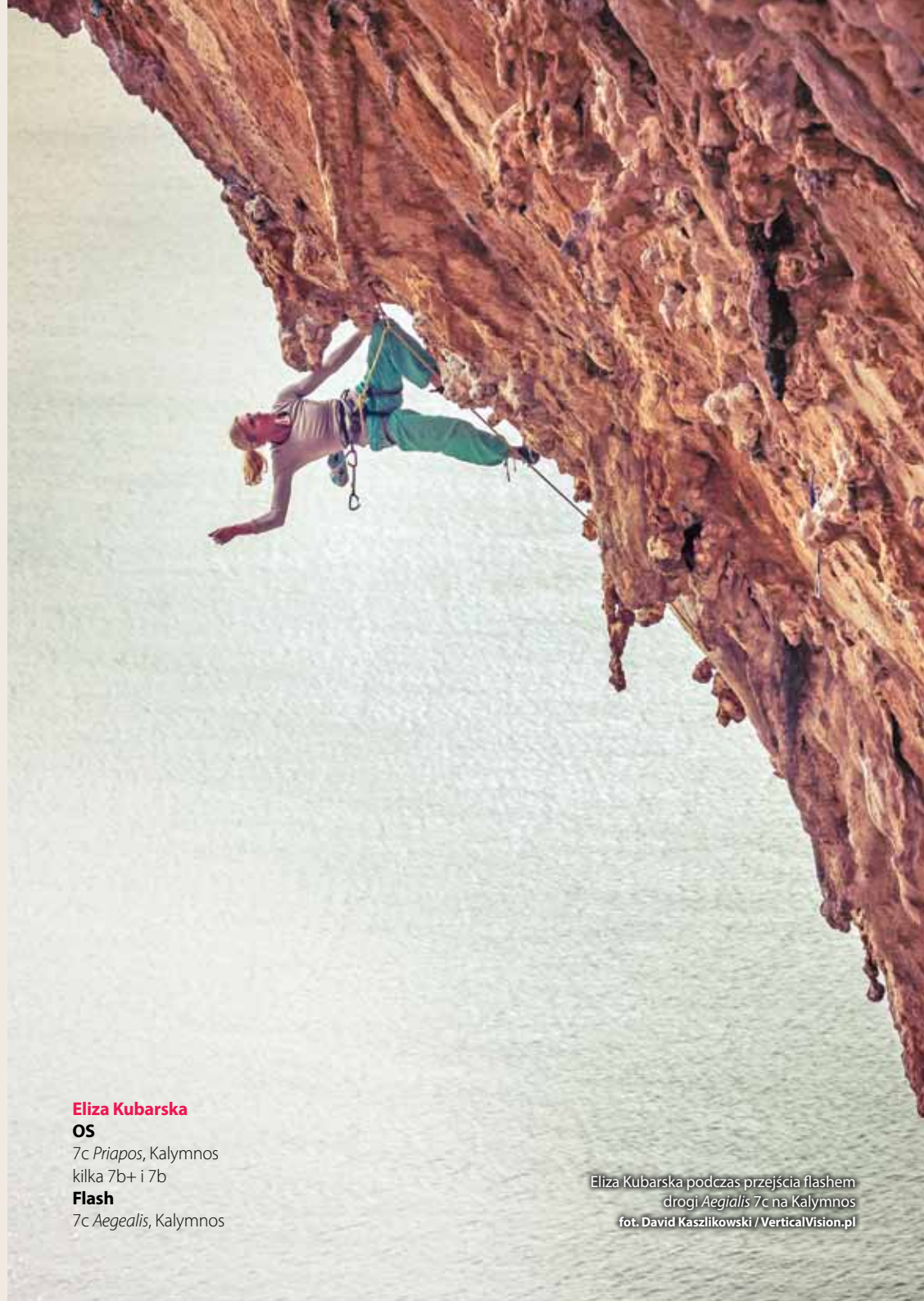
Eliza Kubarska**OS**

7c *Priapos*, Kalymnos

kilka 7b+ i 7b

Flash

7c *Aegealis*, Kalymnos



Eliza Kubarska podczas przejścia flashem
 drogi *Aegialis* 7c na Kalymnos
 fot. David Kaszlikowski / VerticalVision.pl



Stefan Madej na rozgrzewkowej 6c+ w Oskie
fot. Krzysztof Boczyński

Szymon Łodziński

OS

8a+ *Paideia*, Rodellar
7c+/8a *El Sepes*, Rodellar

RP

8b/b+ *Sreča vrtnice*, Mišja Peč

Zawody

1. miejsce, PP w Boulderingu, Łódź
2. miejsce, PP w Boulderingu, Gdańsk

Stefan Madej

OS

VI.5 *Hektor*, Jura
7c+ *Spasiba + Iva*, Rodellar

Flash

8a *A Cravita*, Rodellar

RP

8b+/c *Geminis*, Rodellar
8b+ *Le Nabab*, Saint-Léger
8b *Alter Ego*, Rodellar
8A *Odium*, Kamień Michniowski
7C+ *La Balance*, Fontainebleau
4x VI.6 RP, Jura

Michał Łodziński

OS

7c *Maman je vais mourir*, Orpierre

RP

8b/b+ *Philippe Cousinier*, Rodellar
8a *Bookaro banzai*, Orpierre (2 próba)

Zawody

3. miejsce PP w Prowadzeniu, Toruń
7. miejsce, MP w Boulderingu, Warszawa

Michał Kulpiński

OS

7b+ *Las ventanas del mascun*, Rodellar
kilka 7b

RP

8b/b+ *Philippe Cuisinier*, Rodellar
8a *Brumisator*, Rodellar (2 próba)
VI.5/5+ *Nagły atak murarza*, Jura
7c+ *Via Viciosa*, Rodellar (FA)

Zawody

6. miejsce, PP w Boulderingu, Gdańsk

Jerzy Laskowski

OS

7c+ *Slayer*, Saint-Léger
7c *Les Clowns*, Saint-Léger
7c *Les Rifougners*, Saint-Léger

Flash

7c+ *Salsiccia Power*, Sperlonga

RP

8b *Abregenief*, Saint-Léger
8a+ *Malaxe*, Saint-Léger
8a+ *Do It!*, Sperlonga
VI.5+/6 *Aleja zasłużonych*, Jura
VI.5+/6 *Powitanie wiosny*, Jura
VI.5+ *Idę tysi*, Jura

Piotrek Białas

RP

VI.5 *Grek Korba*, Jura
7c+ *Salsiccia Power*, Sperlonga
7c+ *FF Meuch*, Saint-Léger
7c *Cave cannam*, Sperlonga



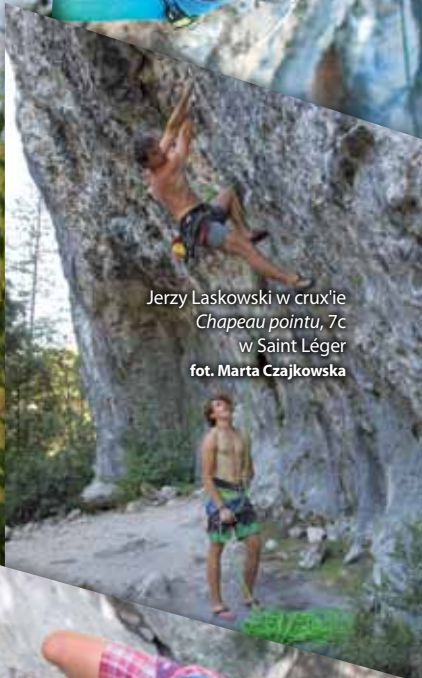
Michał Marines Łodziński
na pełnej pulapek 7a+
Les blaireaux au porto
w Saint-Léger
fot. Marta Czajkowska



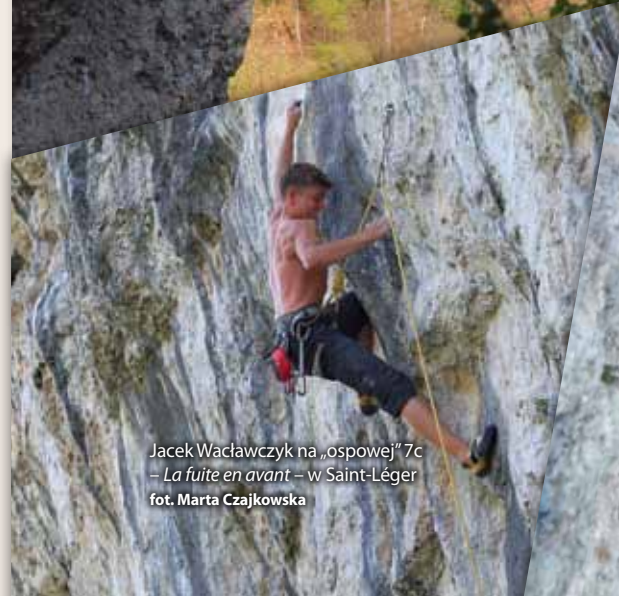
Zuzanna Maciejczyk w Rodellarze
fot. Stefan Madej



Ania Thiele-Wieczorek
na drodze *Macker*,
Frankenjura
fot. Jakub Thiele-Wieczorek



Jerzy Laskowski w crux'ie
Chapeau pointu, 7c
w Saint-Léger
fot. Marta Czajkowska



Jacek Wacławczyk na „ospowej” 7c
– *La fuite en avant* – w Saint-Léger
fot. Marta Czajkowska



Ewa Załuska
na *Obadi-Obada* (VI.3+/4)
fot. Stefan Madej

Mikołaj Nowotnik**RP**

8A *Super Supernova*, Magic Wood
 8A *The Right Hand of Darkness*, Magic Wood
 7C *Super Nova*, Magic Wood
 7C *Intermezzo*, Magic Wood

Zawody

9. miejsce PP w Boulderingu, Zakopane
 9. miejsce PP w Boulderingu, Poznań
 3. miejsce BoulderRes, Rzeszów
 5. miejsce Rezerwa Mocy, Wrocław

Michał Wojewódzki**RP**

8A *Octopussy*, Magic Wood
 8A *The Right Hand of Darkness*, Magic Wood
 8A *Unendliche Geschichte 2*, Magic Wood
 7C *Fight Club*, Magic Wood
 7C *My Day Is Your Day*, Adamów

Filip Chrapowicki**RP**

VI.6 *Chomeini*, Jura
 8a *Leftfield*, Frankenjura
 8a *Il ladro di saponette*, Arco

Rafał Pawiński**OS**

8a *ATPC*, Masruidoms
 7c *Domador de amortiguadores (L1)*, Masruidoms
 7c *Solos a solas*, Siurana
 7b+ *Chorrera gran*, Masruidoms
 7b+ *Put a crisis reglatera*, Masruidoms
RP
 8a+ *Domador de amortiguadores (L2)*, Masruidoms
 8a *Los rancios de la aldea*, Masruidoms
 8a *Pinche lupita*, Masruidoms

Bartosz Jarosiewicz**RP**

7C+ *Synapses*, Fontainebleau
 7C+ *Foxy Lady*, Magic Wood
 7C+ *Lucky Luke*, Fontainebleau
 7C *Kraken*, Fontainebleau
 7C *Hotline*, Fontainebleau

Zawody

10. miejsce, PP w Boulderingu, Poznań

Tomek Zacharewicz**RP**

7C *Intermezzo*, Magic Wood
 7C *Enterprise in Space*, Magic Wood
 7B+ *Tabex-Ozmo*, Kamień Michnowski

7B+ *Dino's Don't Dyno*, Magic Wood
 7B+ *Nagły impuls lata*, Jura
 7B *Grit de lux*, Magic Wood
 7B *Morgenlatte*, Magic Wood

Piotr Kazubski**RP**

7C *Troll*, Ostas
 7C *Vzali mi moj sen*, Ostas
 7B/B+ *Lišky v revíru*, Ostas
 7B+ *Divine Decadence*, Fontainebleau
 7B+ *Aerosol*, Ostas
 7B *Campus Board*, Ostas
 7B *Carnage*, Fontainebleau

Ludomir Zalewski**OS**

7c *Nirvana*, Kalymnos
 7b+ *Thetida*, Kalymnos
 7b+ *Fourtouna*, Kalymnos
 7b+ *Inti Raymi*, Kalymnos
RP
 8a *Angelika*, Kalymnos
 8a *Helios*, Kalymnos
 VI.5+ *Wariacje*, Jura
 VI.5+ *Onyks*, Jura
 VI.5/5+ *Nagły atak murarza*, Jura
 9x VI.5/7C+

Jacek Waclawczyk**OS**

7c *So Weak, So Strong*, Koh Yao Noi
 7b+ *Roland Culet*, Saint-Léger
 7b+ *Melting*, Laoliang
 7b+ *Raah*, Laoliang
RP
 8a *No Name*, Koh Yao Noi
 8a *Bill boulette*, Chateauvert
 VI.5 *Odłot proroka*, Pochylec

Krzysiek Banasik**OS**

7c *No Money No Dance*, Geyikbayiri
 7b+ *Esfuerzo*, Albenga
 7b+ *Black Moon*, Geyikbayiri
 7b+ *Sabotaj*, Geyik Bayiri
 7b+ *Terazi lastik gimnastik*, Geyikbayiri
RP
 7c *Ange de l'Oubli*, Geyikbayiri
 7b+ *Ogi*, Jura
 7b+ *Godzilla*, Albenga

Paweł Orłowski**RP**

VI.5 *Hektor*, Jura
 VI.4+ *Wolant*, Jura
 VI.4+ *Spotkajmy się o północy*, Jura
 VI.4 *Honor clowna*, Jura

Bartosz Kurowski**RP**

VI.5 *Dupa biskupa*, Jura
 VI.4+ *Kobiety i medycyna (Kant Fabka)*, Jura

Rafał Nawrot**RP**

VI.5 *Kant finansowy (oryginalnie)*, Jura
 VI.4+ *Kazaczok*, Jura

Mikołaj Winiarski**OS**

7a *Transgenicstop*, Siurana

RP

VI.4+ *Kletter Killer*, Sokoliki
 VI.4+ *Lubonice's Smile (Męski Finał)*, Lubonice

Legenda:

PP – Puchar Polski
 MP – Mistrzostwa Polski

PŚ – Puchar Świata
 ME – Mistrzostwa Europy

Piotr Sochacki**RP**

VI.4 *Sernik wiederński*, Jura

Kuba Główna**Zawody**

3. miejsce PP w Boulderingu, Gdańsk
 4. miejsce MP w Boulderingu, Warszawa
 4. miejsce PP w Boulderingu, Poznań
 4. miejsce PP w Boulderingu, Zakopane
 26. miejsce ME w Boulderingu, Innsbruck, Austria

Kuba Jodłowski**Zawody**

1. miejsce PP w Boulderingu, Gdańsk
 2. miejsce PP w Boulderingu, Poznań
 3. miejsce MP w Boulderingu, Warszawa
 5. miejsce PP w Boulderingu, Łódź
 23. miejsce PŚ w Boulderingu, Haiyang, Chiny
 25. miejsce PŚ w Boulderingu, Chongqing, Chiny
 29. miejsce ME w Boulderingu, Innsbruck, Austria



Rośniemy! Mamy już 1300 m2 ściany i nową część boulderową

arenamakak.pl

Arena Wspinaczkowa Makak, ul. Palisadowa 20/22, Warszawa (Bielany); 730 710 775; pon.-pt. 10-23, sb.-nd. 9-22

Agama

– podsumowanie AD 2015

Małgorzata Kusztełak



Szymek Dolecki na Pochmurnym Kominie (VI-)

Rok 2015 obfitował w wiele miłych wydarzeń, sukcesy w skałach i na zawodach, wspaniałe wyjazdy i mnóstwo najrozmaitszego wspinania. Odwiedziliśmy wiele ciekawych miejsc wspinaczkowych, również tych mniej znanych. Zainspirowało nas to do zorganizowania konkursu, który wkrótce ogłosimy na naszej stronie internetowej: agamawspin.pl. Zadanie konkursowe będzie polegało na odgadnięciu, na podstawie zdjęcia, nazwy rejonu skalnego, w którym się wspinaliśmy. Na zwycięzcę czeka wspaniała nagroda!

Wyjazdy

Podsumowanie minionego roku zaczniemy więc od wyjazdów. Odbyły się trzy obozy Agamy: na początku wakacji w Dolinie Będkowskiej pod Krakowem, w środku wakacji na Frankenjurze i na ich koniec w Olaszynie pod Częstochową. Wszystkie były wspaniałe, ale każdy inny, więc warto parę słów o nich napisać.

Na pierwszym obozie spaliliśmy w ładnym schronisku w łąkach, wszystkie dzieci i instruktorzy razem. Wszystkie posiłki jedliśmy wspólnie, co dało okazję do zespolenia grupy. Służyły temu też wspólne zabawy, w których rywalizowały zespoły, do których udało się też włączyć rodziców. Były takie konkurencje jak rzut butem do celu, małpia ściana, pajęczyny - wszystkie wymagały udziału całej grupy. Panowała świetna atmosfera. Może było trochę za głośno, ale dzieci czuły i bawiły się doskonale. A to przecież najważniejsze. Wspinanie? No tak, tego nam na pewno nie brakowało. Codziennie rano rozjeżdżaliśmy się w różne rejon, których Dolina Będkowska oferuje sporo. Niewątpliwie mocną stroną tego obozu była znakomita i niezwykle liczna kadra trenerska: **Zuzia Maciejczyk, Michał Kulpiński, Mateusz Szmajda, Przemek Kusztełak, Paweł Haciski, Paweł Grocholski, Gosia Kusztełak, Tomek Majchrzak, Michał Górzyński**. Wszyscy działają w Agamie już wiele lat i stanowią niezwykle zgrany, a zarazem uzupełniający się, zespół trenerów o konkretnych specjalizacjach. Jest to bardzo ważne, ponieważ każdy, kto trochę rozumie niezwykle złożoność wspinania, wie, że nie ma trenera uniwersalnego – doskonałego w każdym jego aspekcie. A przecież warto pokazać zarówno bouldering, prowadzenie, rysy, wielowyciągi, jak i operacje sprzętowe, aby pozwolić każdemu wybrać własną drogę.

Oboz dla najstarszej grupy zawodników zrobiliśmy, jak w poprzednim roku, na Frankenjurze. Pojechaliliśmy małą grupą złaknieni wspinania. Frankenjura ponownie zauroczyła nas swoją różnorodnością i wielkością. Codziennie jeździliśmy do innego rejonu i w żadnym nie byliśmy dwa razy. Nie odwiedziliśmy też żadnego rejonu, w którym byliśmy rok temu. Mieliliśmy



Obóz na Frankenjurze – plac zabaw



Obóz na Frankenjurze – Agama pod wiszącą skałą

świetnych przewodników: Tomka Majchrzaka, który zna Frankenjurę jak własną kieszeń i **Konrada Saladrę**, jednego z najlepszych skalnych wspinaczy w Polsce i doskonałego instruktora, dla którego Frankenjura to drugi dom - spędza tam większą część roku. Dzięki wsparciu Tomka i Konrada wszystkie odwiedzone rejonu i drogi, które robiliśmy, były wyjątkowo piękne. Każdy z Agamowiczów poprowadził swoją życiówkę. **Mikołaj** i **Szymon Doradziński** dzielnie atakowali trudne drogi, nie patrząc na cyfrę. W stylu OS zrobili kilka ósemek, między innymi bardzo trudną drogę *Ost ist Wahn*.

Ola Lewicka na drodze *Quergang* (7+), Frankenjura

dzo ambitnie, robiąc dziesiątki przystawek, wspólnie (w małych grupach) rozkminiwały i sklejały naprawdę trudne sekwencje przechwyty. Wszyscy mieli problemy dobrane do swojego poziomu, no może ciut trudniejsze, więc co i raz słyhać było głosy: „No, ja tu jeszcze muszę wrócić”. Udało się nam, a raczej dzieciom, osiągnąć cel obozu, jakim było zbudowanie motywacji do treningu na całą zimę. Obóz zakończył się tradycyjną tyrolką, potem były już tylko pożegnania, poszukiwania sprzętu, jeszcze ze dwie przystawki na ostatnich problemach i powrót. I do przyszłego roku.

Sukcesy

Tegoroczne sukcesy Agamy na zawodach i w skałach wynikają z ogromnej pracy wszystkich trenerów. Zaczęło od treningów na ścianie. Trenowaliśmy na trzech różnych ściankach: Arenie Wgórę, Makaku i Cruxie. Dzięki temu udało nam się pogodzić trening boulderowy z czasówką i prowadzeniem dróg. Osiągnęliśmy świetne wyniki w każdej subdiscyplinie. Treningi prowadzili najlepsi i najbardziej doświadczeni w pracy z dziećmi trenerzy. Wszyscy (z wyjątkiem Buldera, czyli Pawła Haciskiego, który jest dla nas wszystkich wspinaczkowym guru) są wychowankami Agamy i już co najmniej od czterech lat uczą dzieci wspinaczki. Początkowo byli pomocnikami

instruktora, a teraz są samodzielnymi instruktorami i każdy ma już na swoim koncie, oprócz własnych sukcesów zawodniczych, spore sukcesy trenerskie.

Przystępując do każdej z grup Agamy, nawet do najmłodszej, dzieciaki obowiązkowo muszą przejść kurs asekuracji na indywidualnych zajęciach z instruktorem. Zajęcia takie prowadzą instruktorzy Agamy: **Zuzia Maciejczyk, Mateusz Szmajda, Michał Kulpiński, Tomek Zacharewicz i Maciek Bukowski**. Uczą kandydatów do sekcji podstaw wspinania, zasad bezpieczeństwa i obsługi sprzętu do wspinaczki na sztucznej ścianie. Kurs asekuracji kończy się egzaminem. Dołączyć do grupy mogą tylko ci, którzy do perfekcji opanują asekurację „na wędkę”.

W Agamie jest wiele grup: maluszki (7-8-latk), dwie grupy sportowe: młodsza (dzieci 8 i 9 lat, dzieci młodsze 10 i 11 lat i młodzicy 12 i 13 lat) i starsza (juniorzy młodszy 14 i 15 lat i juniorzy 16 i 17 lat). Grupa maluszków oraz grupa młodsza rekreacyjna asekurują się na wędkę. Dzieci z grupy młodszej sportowej trenują już minimum trzy lata. Wspinają się i asekurują partnera z dolną asekuracją. Młodzież trenująca w grupach

juniorskich wspina się z dołem. Juniorzy nie tylko biorą udział w treningach, ale są też współtwórcami swojego planu treningowego. Celem trenerów Agamy jest takie ich przygotowanie, żeby jako młodzieżowcy potrafili samodzielnie lub jedynie korzystając z porad innych instruktorów ułożyć sobie plan treningowy. Jak widać po wynikach naszych młodzieżowców, zdaje to egzamin.

Wyjątkowo dumni jesteśmy z najmłodszej grupy, która działa dopiero od roku, a już zdobyła dla UKA Agama kilka medali. Zajmował się nimi Michał Kulpiński. Na początku miał bardzo trudne zadanie. Szybko okazało się jednak, że dzieciaki są wyjątkowe pod każdym względem, nie tylko sportowym. Powstała niezwykle zgrana, grupa małych przyjaciół, którzy troszczą się o siebie nawzajem i dbają o to, żeby każdy z drużyny wspinął się jak najlepiej.

Grupy sportowe miały zajęcia z **Kubą Jodłowskim**, który skutecznie zaraził swoich podopiecznych boulderingiem. Z liną nasi sportowcy również radzą sobie wspaniale. Starsi śmiało atakują najtrudniejsze drogi na Warszawiance i na Makaku. Młodszy, pomimo niewielkiego wzrostu, wspinają się po drogach do VI.3. Kuba zbudował wraz ze swoimi przyjaciółmi swoją własną, wspaniałą, boulderownię Obiektu i tam będzie teraz trenować najstarsza grupa zawodników oraz młodszy pasjonaci boulderów. Treningu z liną nie odpuścimy im jednak na pewno!

W tym roku tak się śmiesznie złożyło, że w grupie rekreacyjnej młodszej są tylko dwie dziewczynki i jest to grupa bardziej męska, a w grupie rekreacyjnej starszej – tylko dwóch chłopców i jest to grupa bardziej damska.

Dzieciaki z tych grup wspinają się znacznie krócej niż ich koledzy i koleżanki z grup sportowych. Treningi z nimi to wyjątkowa przyjemność. Są bardzo ambitni, uwielbiają się wspinać, dzielnie trenują i z zajęć na zajęcia są coraz lepsi. W tym roku wszyscy zrobili tak duży postęp, że spokojnie można powiedzieć, że w Agamie wszystkie grupy to grupy sportowe. Część dzieciaków startowała już zresztą w zawodach, osiągając świetne rezultaty.

Moim zdaniem, wspinaczka jest najbardziej zespołową dyscypliną ze wszystkich sportów indywidualnych. Wiąże się to z tym, że niezależnie od wieku i poziomu zaawansowania jesteśmy częścią społeczności wspinaczy i mamy ze sobą dużo bliższe relacje niż zawodnicy innych sportów. Treningi w grupie rówieśników są niezastąpione. Po pierwsze – uczą współdziałania w grupie, a po drugie – budują więzi przyjaźni, które mają szansę przetrwać przez całe wspinaczkowe życie. Doskonałym na to przykładem są starsi wychowankowie sekcji, którzy dawno już nie są w Agamie, ale cały czas się razem wspinają, trenują, wyjeżdżają w skały. Chociaż często mają różne cele wspinaczkowe (zawody, góry, skałki), trzymają się razem i we wspinaniu, i często również w życiu. Miło na to popatrzeć, znając ich do maledo.

Starty w zawodach stanowią ważny element procesu treningowego członków Agamy. Nie są celem samym w sobie, ale służą rozwojowi wspinaczkowemu i dążeniu do osiągnięcia mistrzowskich wyników w zawodach seniorskich. Zawody dla dzieci i młodzieży uczą rywalizacji, taktyki działania podczas zawodów, zasad fair play, oraz, co bardzo ważne, panowania nad swoimi emocjami i radzenia sobie z porażkami. Zawody juniorskie, już nieco poważniejsze, przygotowują młodzież do startów w zawodach seniorskich. Dopiero wyniki tych ostatnich mogą – lecz nie muszą – być celem wieloletniego procesu treningowego. We wspinaczce celem może być również wynik we wspinaczce skalnej czy w górach. Nie wszyscy muszą startować w zawodach żeby być wybitnymi wspinaczami.



Zawody na Murallu

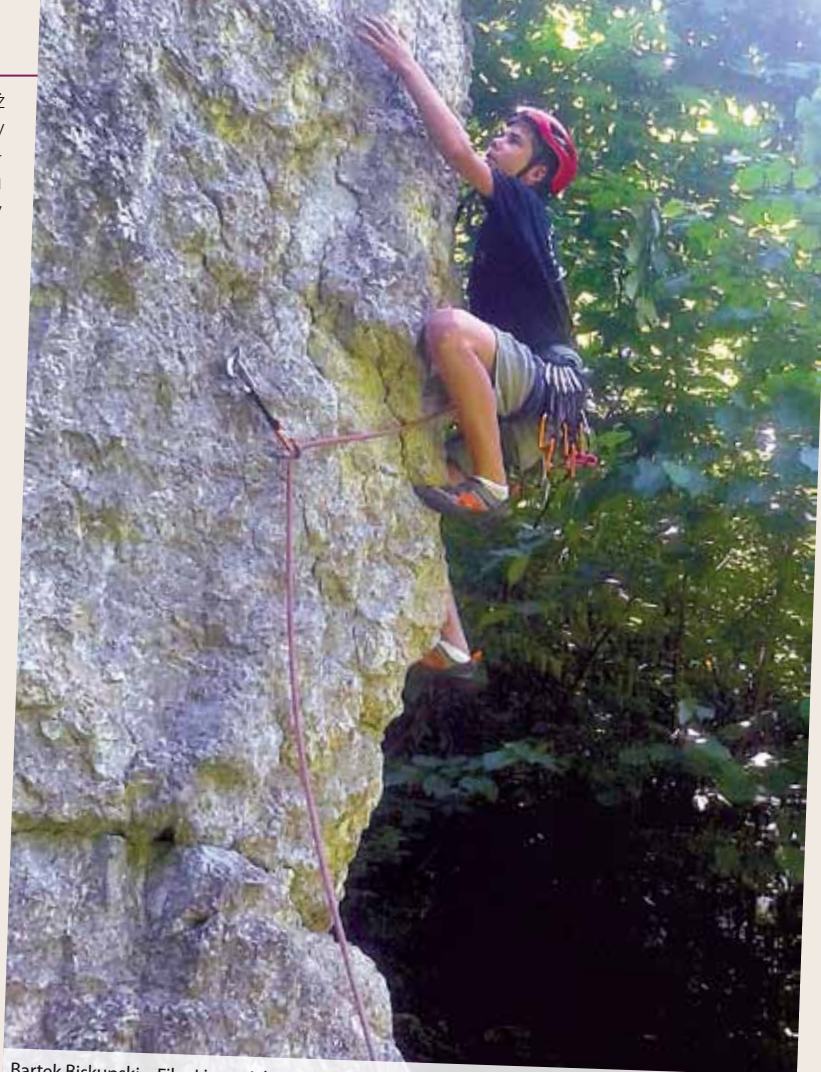
W minionym roku aż 22 osoby wystartowały w Pucharach Polski Dzieci i Młodzików. Dla wielu były to pierwsze starty w życiu. Wszystkim należą się ogromne gratulacje.

Szczególnie dobrze dzieciaki spisały się na Murallu w Warszawie. Osiemnaście razy oglądaliśmy Agamę w finałach! Również zawodnicy, którym nie udało się wejść do finału, zaliczyli wspaniały start.

W 2015 roku medale dla UKA Agama wywalczyli: **Dominika Majszczyk**, **Maciek Klejman**, **Antek Rygiel**, **Antek Gontarz**, **Antek Kalinowski**, **Pola Pietkiewicz**, **Marcel Cholewa**, **Bartek Winiarek**, a **Marysia** i **Jaś Grześkowiak** oraz **Marta Podgórska** zajęli miejsca tuż za podium. O tych dzieciakach z pewnością jeszcze usłyszymy nie raz, bo są to niesamowite talenty.

W Pucharze Polski Juniorów i Juniorów Młodszych startowało pięcioro naszych zawodników. Rewelacyjnie spisał się **Mikołaj Sienkiewicz**. Był drugi w boulderingu w Łodzi i trzeci na czas w Warszawie. Trzeba podkreślić, że Mikołaj ścigał się na standardzie. Jest to droga ułożona specjalnie na zawody, zawsze jednakowa i z takich samych chwytów, co umożliwia bicie rekordów w zastandaryzowanych warunkach. Ponieważ w Warszawie nie było takiej ściany, Mikołaj biegał w zasadzie tylko na zawodach. W prowadzeniu UKA Agamę reprezentował **Filip Chrapowicki**, który zajął w Toruniu trzecie miejsce, oraz **Szymon Doradziński**, który był czwarty w Tarnowie.

Całkiem nieźle spisali się nasi młodzieżowcy. Michał Kulpiński zajął drugie miejsce w Pucharze Polski



Bartek Biskupski – Filar Lipczyńskiej (V+)

w bulderingu w Gdańsku. Zakwalifikował się do finału seniorów i, pokonując wielu wybitnych zawodników, zajął szóste miejsce. Tomek Zacharewicz ostatnio całkiem zaprzestał wspinania z liną, co zaprocentowało osiągnięciami w boulderingu – w skałach i na zawodach. Zajął trzecie miejsce w Mistrzostwach Polski w bulderingu w Warszawie.

Starsi zawodnicy w tym sezonie zdecydowanie skoncentrowali się na wynikach w skałach. Zrobili wielkie postępy. O ich wynikach można przeczytać w podsumowaniu sezonu seniorów, gdyż chłopaki należą już do najlepszych wspinaczy UKA.

Na koniec

Nasza współpraca z UKA trwała 14 lat i przez ten czas wychowaliśmy całe pokolenie znakomitych wspinaczy górskich i skalnych, wielu czołowych zawodników kadry narodowej, dziesiątki znakomitych instruktorów i – co chyba najważniejsze – wspaniałych ludzi, z których Agama i UKA mogą być dumni. Chciałam wyjaśnić Wam – Członkom UKA, jaka jest misja Agamy, nasze cele i podejście do trenowania dzieci. Wcale nie uważam, że jest to jedyne słuszne podejście. Każdy instruktor i każdy klub ma zapewne własną filozofię i własne metody.

Szkolenie dzieci i młodzieży

- Stworzenie optymalnego systemu treningowego i wieloletnich programów treningowych juniorów i dzieci, zgodnych z rozwojem dziecka, stymulujących jego rozwój i minimalizujących szkodliwy wpływ obciążeń treningowych
- Czternastokrotny start w zawodach międzynarodowych rangi Pucharu Świata i Pucharu Europy; najlepsze osiągnięcia:
 - 2. miejsce w Pucharze Europy Juniorów we wspinaczce na czas
 - 5. miejsce w Pucharze Świata Juniorów
 - półfinał Mistrzostw Europy w prowadzeniu
 - półfinał Pucharu Świata w prowadzeniu
- Wytrenowanie 12 zawodników kadry narodowej we wspinaczce sportowej
- Zdobywanie ponad 200 medali na zawodach Pucharu Polski Juniorów, PP Dzieci i Młodzików, UKS oraz innych ogólnopolskich zawodach

Szkolenie instruktorów w zakresie treningu wspinaczkowego dzieci i młodzieży

- Prowadzenie staży instruktorskich w skałach i na sztucznej ścianie dla kandydatów na instruktorów, którzy chcą pracować z dziećmi (W stażach uczestniczyło 14 instruktorów; wielu z nich prowadzi teraz swoje sekcje juniorów w najprężniej działających ośrodkach w całej Polsce.)



Ścianka wspinaczkowa autorstwa Poli Pietkiewicz

Organizacja zawodów

- W 2008 roku organizacja pierwszych w Polsce i jedynych z pierwszych w Europie zawodów dla dzieci i juniorów w boulderingu – **Juniorboulder** (Od tej pory organizujemy je cyklicznie; na każdą edycję przyjeżdża ponad 100 zawodników z całej Polski.)
- Organizacja Pucharu Polski Juniorów i Juniorów Młodszych PZA w boulderingu (dwukrotnie), Pucharu Młodzików i Dzieci na czas (czterokrotnie) oraz pierwszych zawodów w boulderingu dla dzieci do lat 7

Inne

- Stworzenie sekcji wspinaczki sportowej dla dzieci niewidomych i niedowidzących (2015)
- Organizacja zajęć wspinaczkowych w ramach projektu MSiT „Wspinanie to wyzwanie” (2014-2015)
- Organizacja zajęć wspinaczkowych dla finalistów konkursu organizowanego przez Piaseczyńską Fundację Ekologiczną (2015)
- Organizacja zajęć wspinaczkowych dla dzieci z rodzin patologicznych (2004, 2005)
- Wdrożenie do sekcji Agama czwórki dzieci z domu dziecka (2011-2013)
- Organizacja Dnia Dziecka i Mikołajek dla dzieci z domu dziecka (2006, 2007, 2012)
- Współpraca z fundacją „Synergia”, prowadzenie indywidualnych zajęć wspinaczki dla dzieci niepełnosprawnych (2006)

Wspólnie z UKA, przez 14 lat zrobiliśmy wiele dla rozwoju wspinania. Mogliśmy tego dokonać tylko dzięki wsparciu Zarządu i Członków UKA, którym bardzo dziękujemy za współpracę i pomoc. Dziękujemy też naszemu sponsorowi – firmie Mammut.

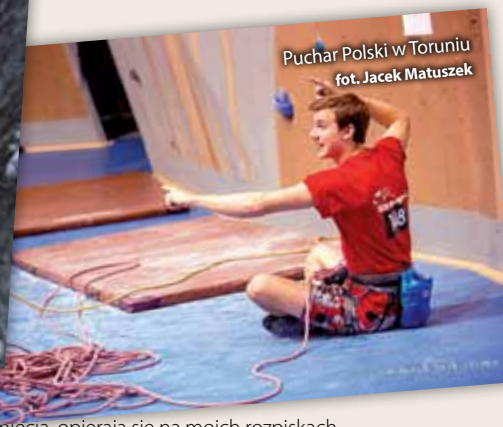
Zawodnik od dziecka

Z Szymonem Łodzińskim rozmawia Stefan Madej

W Rodellarze AD 2015
fot. Maciek Bukowski



chwile. Bardzo też się wtedy rozwinałem, przede wszystkim siłowo, no i boulderowo w związku z tym.



nięcia, opierają się na moich rozpiskach.

Ile miałeś wtedy lat?

Zacząłem u niego trenować pod koniec 2007 roku, czyli kiedy miałem lat 14. Trwało to dwa, może trzy lata, mniej więcej.

Podobno, gdy skończyłeś trenować u Kuby w wieku 16 lat, to miałeś taką moc, że nigdy wcześniej, ani później nie byłeś równie silny?

Tak, ale mówimy tu o przyrządach, czyli dawaniu ze szmaty osiem razy..., różnych dziwnych rzeczach na kampusie, to prawda. Nigdy już tego nie powtórzyłem, ale teraz uważam, że nie to było najważniejsze. To znaczy – jasne, byłem silny, ale samo to niewiele wnosiło do mojego wspinania.

Potem przez pewien czas wspinałem się i trenowałem sam. Nie do końca przewidywałem, co się może wydarzyć, ale trenowałem. To, co sobie wymyśliłem, realizowałem.

Następnie był wyjazd do Rodellaru w 2012 roku z **Olą Taistrą**, pod który przygotowywał mnie mój ukochany brat, **Marines** (Michał Łodziński – od red.). Na tym wyjeździe zrobiłem swoje pierwsze 8c.

Kolejne półtora roku trenowałem u Oli – pod jej okiem, na jej rozpiskach treningowych. Uważam, że było to bardzo rozwojowe, ale jednocześnie nakierowane zupełnie w inną stronę, niż robił to Kuba. Trening był skoncentrowany na wytrzymałości. Raczej długiej i z nastawieniem na ogólną obudowę: dużo ćwiczeń ogólnorozwojowych, dużo basenu, siłowni i nadrabiania braków, które mogły się ujawnić – np. kurowaniu niezaleczonych kontuzji.

Można wreszcie powiedzieć, że od kwietnia 2014, kiedy zakończyła się nasza współpraca, trenuję sam i wszystkie kolejne treningi i wynikające z tego osiągnięcia,

A czy czegoś żałujesz, tak wspinaczkowo? Chodzi mi o błędy, czy okresy treningowe, które z perspektywy czasu inaczej byś spożytkował, albo w ogóle ich nie odbył?

Ciekawe, zastanawiałem się kiedyś nad tym i w sumie żałuję, że nie byłem bardziej ambitny, kiedy byłem dzieckiem. Ale to już jest kwestia tylko i wyłącznie tego, że dzieci tak mają, że nie zawsze się przykładają i ja po prostu takim dzieckiem byłem. Dlatego ten okres, te pierwsze parę lat, kiedy tak naprawdę niespecjalnie byłem wkręcony we wspinanie i nie spędzałem na treningu wystarczająco dużo czasu, mogłoby wyglądać inaczej. Tego żałuję bardzo. Poza tym, inaczej bym spożytkował czas pomiędzy treningami u Kuby i u Oli. Bo do tych okresów, kiedy u nich trenowałem, nie mogę mieć żadnych zastrzeżeń. Im zawierzyłem i im ufałem. Natomiast w czasie „między” Kubą a Olą na pewno robiłem dużo głupich rzeczy, jak np. kampus z dużym obciążeniem, a nawet bardzo ostrym (śmiech); i bardzo małe chwytty. Skutki tego ostatniego odczuwam do teraz – bóle w nadgarstkach.

Rozumiem. A powiedz proszę coś o najważniejszych przełomach w Twojej wspinaczkowej karierze. 8b OS?

Tak, na pewno. Ale to było tak strasznie niespodziewane. Sądzę, że dla wszystkich, ze mną na czele (śmiech). Gdy parę dni wcześniej, po raz pierwszy wstałem się w 8b z myślą o OSie, to naprawdę byłem zdziwiony, że sukces był tak blisko, bo niby jakim prawem? Wcale nie szło mi na tym wyjeździe jakoś specjalnie dobrze, nie byłem w świetnej formie. Po prostu, dobrze mi się wspinano i tyle. A 8b OS, to już jest naprawdę straszna cyfra.

Na przykład jakiś dłuższy wyjazd w skały. Nie mówię tu o tygodniowym wypadzie, tylko raczej o miesięcznym pobycie wakacyjnym, ewentualnie o tych dwóch czy trzech tygodniach na koniec roku. Kiedy przygotowałem się do zeszłorocznego wyjazdu do Ospy, zaplanowałem to dużo wcześniej. Wiedziałem pod co mam ładować, w jaki sposób, znałem rodzaj chwytów i długość dróg, w które będę chciał się wstawić. Wtedy łatwiej się przygotować i wszystko zaplanować.

No właśnie, a kto Cię tego nauczył? Chyba było kilka takich osób?

Ha, bardzo dobre pytanie. Oczywiście, zaczynałem u **Gosi Kusztelak**...

Jak wszyscy...

...jak wszyscy (śmiech). Potem trenowałem u **Jakuba Ziółkowskiego**, u którego nauczyłem się dużo ciekawych rzeczy – głównie związanych z siłą, ze „zginaniem” i trzymaniem chwytów. Nie pamiętam, ile w sumie czasu spędziłem u Kuby, ale zajęło to dłuższą

Czołowy przedstawiciel warszawskiego pokolenia „młodych gniewnych”, czyli wspinaczy dla których na początku kariery szczytem marzeń nie było VI.5, a raczej 9b. Mimo młodego wieku jest jednym z najbardziej utytułowanych zawodników UKA. Jeszcze jako junior wielokrotnie stawał na najwyższym stopniu podium Mistrzostw Polski. Obecnie zalicza się do ścisłej, seniorskiej czołówki zarówno bulderowej, jak i w prowadzeniu. Jest też posiadaczem największej w naszym klubie liczby trudnych dróg poprowadzonych na „weście” – z 8b OS na czele.

Zapraszam do rozmowy z Szymonem Łodzińskim!

Porozmawiajmy jak sportowiec z sportowcem... Jak wygląda Twój trening?

Na pewno jest zaplanowany (śmiech), ale to nie jest tak, że mam jeden konkretny cel i tylko pod niego ładuję. Wiedząc pod co mam się przygotować, tak rozpisuję sobie trening, żeby pasowało i pod to cisnę.

...dobrze, ale to co tym konkretnym celem może być?

Na Strelowdzie (8c RP) w Miłży peć
fot. Konrad Boczyński



Ale za pierwszym razem się nie udało, byłeś po prostu blisko, czy tak?

Tak, bardzo blisko, spadłem na ostatnim ruchu.

I kilka dni później zrobiłeś inną drogę?

Tak. Na tej pierwszej byłem strasznie zdziwiony, ponieważ poczułem, że pojawiła się taka możliwość. Spadłem wtedy dlatego, że pojechała mi ręka. Nie byłem bardzo zniszczony fizycznie, tylko po prostu zabrało mi szczęście. Wtedy zorientowałem się, że to jest możliwe – zrobić taką drogę onsajtem. Postanowiłem wstawić się w kolejną trudną linię w tym stylu, czyli w *Priez pour nous*. Tu już się bałem. Byłem zestresowany, bo wiedziałem, że jest taka możliwość, że ją zrobię.

Udało się, ale to wyszło bardziej przez przypadek, więc nie nazwałbym tego przełomem. Oczywiście fajnie, bardzo fajnie zrobić taką drogę w tym stylu. To jest wspaniałe uczucie, ale wydaje mi się, że większym osiągnięciem było zrobienie pierwszej „ósemki be”, czy pierwszej „ósemki ce” RP. *Geminis* (8b+) też był sporym przełomem, bo spędziłem na nim bardzo dużo czasu – miałem chyba szesnaście prób. Od samego początku ta droga wydawała mi się bardzo, bardzo, bardzo trudna, a do tego dochodziła jeszcze jej długość, która mnie przerażała. Przed tym wyjazdem wspinałem się tylko dwa miesiące, w czasie których pomagał mi mój brat, bo wcześniej miałem kontuzję palca.

Było to więc dla mnie bardzo ważne, bo potwierdziło, że dobrze przepracowałem te dwa miesiące. Natomiast te wszystkie onsajty bardzo fajnie robić, świetnie, że one wychodzą, ale to trudno nazwać momentami przełomowymi. RP było dla mnie bardziej wartościowe, bo włożyłem w nie więcej pracy, a OS jest po prostu strzałem i tyle.

No dobra, wspominasz o Marinesie, swoim bracie...

To ten bardziej zdolny, jakby co...

Tak (śmiech). Jak wyglądają wasze relacje pod kątem wspinania przez te wszystkie lata? Pomińmy może ten okres, gdy miałeś kilka lat. Bardziej interesuje mnie późniejszy czas, kiedy obaj byliście już zawodnikami, trenowaliście, odnosiliście jakieś sukcesy. Czy wspinacie się razem, czy jest między wami jakaś rywalizacja? Trenujecie razem? Wspominałeś, że Marines pomagał Ci w treningu?

Trudna sprawa... z Marinesem wspinałem się od czasu do czasu. Raczej nie trenujemy razem, ale czasem zdarza nam się razem wspinać. Wcześniej praktycznie w ogóle tego nie było. Jeszcze w 2008 roku byliśmy na wyjeździe w Tarnie, a potem przez długi czas nigdzie razem nie jeździliśmy. I rzadko się razem wspinaliśmy.

On miał swoich znajomych, ja miałem swoich, wszyscy byli szczęśliwi w swoich kątach (śmiech). Nigdy nie odczuwałem rywalizacji między nami. To znaczy oczywiście troszkę tak, ale nie w takim sensie, że chciałem mu dokopać, czy chciałem, żeby był ode mnie gorszy. Bardziej jest to taka rywalizacja, która motywuje. Zresztą uważam to za bardzo pozytywną rzecz, bo naprawdę dobrze wpływa na rozwój.

Nigdy nie mieliśmy jakichś specjalnych napinek i raczej nam się dobrze układało w tej materii. No, a ostatnio jakoś bardziej zaczęliśmy... Może odkąd Marines się wyprowadził z domu, to częściej zaczęliśmy wyjeżdżać razem, spotykać się gdzieś we Francji czy Hiszpanii. Jak już jesteśmy na „weście”, to tam się spotykamy, by razem się powspinać. I podobnie jest tu na miejscu. Kiedy mamy jakiś trening i wiemy, że ten drugi też ma, to próbujemy się ustawić na jakieś obwody, boulderki czy coś takiego.

I teraz TO pytanie. Dlaczego nie Jura?

To moje ulubione pytanie z całej puli (śmiech), choć nie wiem, co tam dla mnie jeszcze przygotowałeś.

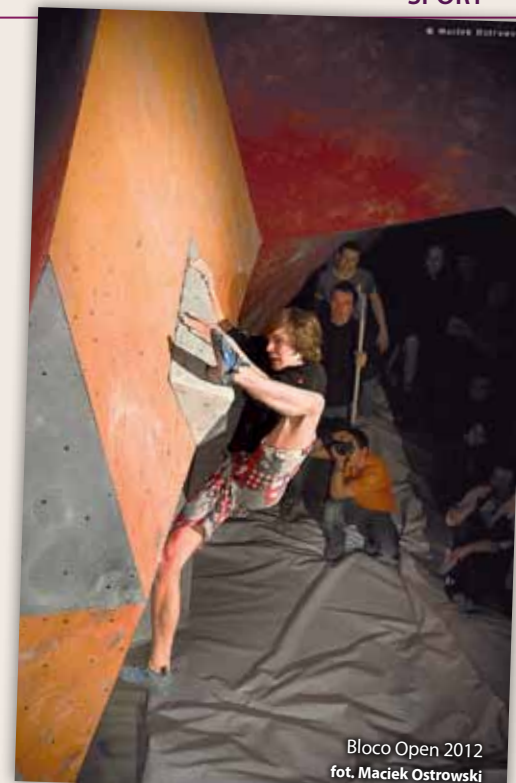
Widziałem Cię kilka razy na Jurze i wyglądało to dobrze, szczególnie jak na osobę, która się tam mało wspina. Jesteś na pewno w stanie osiągnąć czy zaprezentować poziom zbliżony do tego z „westu”.

Nie można powiedzieć, że ja się nigdy na Jurze nie wspinałem. Przecież kiedy miałem 15-17 lat, to przez pewien czas dużo jeździłem w nasze skały. Więc to nie jest tak, że jestem zupełnie nieobeznany. Po prostu dawno tego nie robiłem.

Ale wracając do pytania – to chyba nie jest tak do końca „moje”. Jestem może trochę za ciężki, albo sobie tak wmawiam. Nie sprawia mi to tak dużo przyjemności, jak wspinanie na „weście”. Gdy mam możliwość wyjeżdżania na dłużej, to po prostu wyjeżdżam na Zachód. Na Jurę natomiast jeździ się jednak głównie podczas weekendów, a te bardzo często mam zajęte: zawody, nie zawody... Siłą rzeczy tak wyszło, bo to nie było tak, że tak sobie zaplanowałem. Na Jurze jest dużo fajnych skał, które można odwiedzić, i jak już tam jestem, to staram się być w wielu nowych miejscach, ale cały czas tak wypada, że ciągle...

A masz w głowie takie myśli, żeby kiedyś wybrać się kilka razy na Pochylca, do Mamutowej, zrobić coś trudniejszego? Może do Brzaskwinki?

Myślałem o tym, liczyłem w ubiegłym roku że się uda. No i skończyło się na tym, że byłem cztery razy, czyli i tak dużo. W tym czasie spadłem z paru trudnych



Bloco Open 2012
fot. Maciek Ostrowski

drog na ostatnich ruchach i żadnej z nich nie sfinalizowałem. Chciałbym pojeździć trochę na Jurę, tylko to wymaga wolnych weekendów, a w tym momencie jest mi bardzo ciężko o to zawalczyć. Mam nadzieję, że w najbliższym czasie uda mi się pojeździć w nasze skałki, ale niestety nie mogę tego sobie obiecać.

Zmienmy temat. Czy w jakimkolwiek stopniu wiążesz swoją przyszłość zawodową ze wspinaniem? Co studiujesz? Jakie masz plany na przyszłość, także pozawspinaczkowe?

Dobre pytanie. Studiuję Mechanikę i Budowę Maszyn na Wydziale Samochodów i Maszyn Roboczych na Politechnice Warszawskiej. I w sumie chciałem pracować w tej dziedzinie, bo mnie to bardzo interesuje. Tam się naprawdę wiele fajnych tematów porusza, uczyć się ciekawych rzeczy. Tak więc wiąże przyszłość z pracą wynikającą ze studiów. Ale jak będzie, to oczywiście zobaczymy. Mam nadzieję, że nie będę instruktorem do końca swoich dni, bo mimo tego, że jest to bardzo fajne zajęcie, chciałem jednak chyba robić coś innego. Oczywiście, lubię prowadzić zajęcia na ścianie, ale to nie jest to, co chciałem robić do końca życia.

Może będę traktował pracę na ścianie, jako sposób do-robienia czy odskocznicy...?

Ostatnie pytanie. Jakie masz plany na ten rok, na ten sezon? Chyba teraz gdzieś wyjeżdżasz?

A skąd to Stefan wiesz? (śmiech)

Robiłem risercz ☺

Teraz jadę do Hiszpanii, do Margalefu. Chciałbym się po prostu powspinać, bo jestem w tragicznej formie (śmiech). A konkretnych planów na przyszły rok nie mam. Zobaczmy na co mi studia pozwolą, na co życie prywatne pozwoli. To też jest zawsze wielka niewiadoma.

No dobra, ale podziel się czymś pikantnym..

Nie mam pojęcia czym, póki co. Myślałem nad różnymi opcjami wakacyjnymi, ale na ten moment osoby, z którymi zazwyczaj wyjeżdżam, mają inne pomysły. Jeszcze zdecyduję czy odwiedzić parę rejonów i się wspinać raczej Osem, czy zostaniemy gdzieś na dłużej i wtedy coś trudniejszego pomagam pod RP. Dobrze byłoby wreszcie zrobić coś trudnego, a nie cały czas męczyć się na tych, kurde, szóstkach (śmiech). Po ostatnim sezonie został mi pewien niedosyt.

Przy szóstkach dam „8c – od red.”

Hehe... Ten niedosyt wynika z przygody w ostatnie wakacje. Próbując bardzo trudnej drogi, jak dla mnie,

ostatniego dnia spadłem dwa razy na ostatnim ruchu. I w końcu nie udało mi się przejścia sfinalizować. Chciałbym więc spróbować poprowadzić coś w takich trudnościach...

... czyli 8c+?

Tak. Wiem już, że to jest w moim zasięgu. Zobaczmy, jeśli gdzieś pojedę na dłużej, to na pewno wstawię się w takie trudności z czystego łakomstwa. A jeśli będziemy spędzać mniej czasu w mniejszych rejonikach, to poprobuję łatwiejszych drózek...

A zawody?

Nie wiem na ile pozwolą mi studia. Chciałbym wystartować w nadchodzącym roku we wszystkich edycjach Pucharach Polski w prowadzeniu. We wszystkich, czyli dwóch albo trzech (śmiech). Chcę też postartować w baldach. Kiedy już przestałem trenować u Oli Taistry, która wymagała „resi, resi, resi” (z hiszp. *resistencia* – przyp. S.M.), to teraz na nowo zaprzyjaźniam się z campusem. Czasem zdarza mi się nawet złapać żelazo i podpiąć pod pasek. Uważam, że mam szansę, może nie tyle być na podium, czy w finale, ale sądzę, że gdzieś w tych okolicach powinienem się znaleźć, raz czy dwa. (udawana skromność – od aut.)

Trzymam kciuki! Dzięki.

Dziękuję

Szymon Łodziński ur. 1993.
Wspina się od 2000 r.

Najtrudniejsze drogi:

8c RP: 2012 *Pata Negra*, 2013 *Florida* (4 pr.),
2015 *Strelowod* (4 pr. + próby na wariantach)
8b OS: 2014 *Priez pour nous*

Największe sukcesy podczas zawodów

3 razy Mistrz Polski Juniorów w prowadzeniu,
1 raz Mistrz Polski Juniorów w boulderach,
Puchar Polski w prowadzeniu 2014 (wygrał jedną edycję Pucharu w prowadzeniu i jedną w boulderingu)

Sponsorzy:

DMM, Camper, Red Chili, UKA, Wgóre

Droga 8a w Ceredo zrobiona Flashem
fot. Konrad Boczyński

Ćwiczenia ogólnorozwojowe w Janówku, 2012.
fot. arch. Sz. Łodziński

Popularne 8b w Margalefie, 2016
fot. Maciek Bukowski

Na drodze *Marjetica* (8b/b+) w Mišji peč, 2015.
fot. Konrad Boczyński

Mistrzostwa Świata Juniorów w 2009 roku
fot. Grzegorz Gajaszek

Wspinaczka na własnej asekuracji na Bornholmie w 2014
fot. Marek Janeczek



ZAWODY NA BLOCO 2015/2016

– ewolucja ku absolutowi

tekst: Marek Kaliciński

zdjęcia: Szymon Aksienionek

W poprzednim numerze BUKI opisywałem zawody **UKA OPEN**, które były trzecimi zawodami organizowanymi wspólnie z ekipą BLOCO. Obecnie liczba takich przedsięwzięć zwiększyła się dwukrotnie. W przeciągu roku pomogliśmy stworzyć trzy wielkie imprezy – **Bloco Masters** 2015 (marzec), **Mistrzostwa Polski z Bloco Losers** (listopad 2015) oraz **Bloco Masters** 2016 (styczeń). Jakby nie patrzeć, był to pracowity rok. Zaniedbałem przez to trochę innych obowiązków klubowych, lecz organizacja zawodów zawsze angażuje dużo czasu i energii. Wybaczcie! Jednak, jak wspomnę ten tłum zawodników, kibiców i wolontariuszy, który przewinął się przez BLOCO, to czuję prawdziwą satysfakcję i część tej energii udaje mi się odzyskać. Od lat nic tak mnie nie cieszy jak wysoka frekwencja na zawodach.

Zgodnie ze standardowymi założeniami, zawody miały kilka cech wspólnych, do których należały: duża ilość wspinania na każdym poziomie trudności, rzesza wspinaczy z całej Polski oraz finał z niesamowitym dopingiem publiczności. Każda z imprez była jednak specyficzna i wyraźnie ewoluowała w przeciągu tego roku. Bloco Masters 2015 zostały rozegrane niemal rutynowo

i były bardzo podobne do poprzednich zawodów: 40 eliminacyjnych problemów, 10h wspinania w jednej dużej grupie oraz finały po dwugodzinnej przerwie technicznej, mocni zagraniczni wspinacze, DJ Kieniewicz, live streaming, Bobby Burger – standardy BLOCO czyli organizacyjna nuda ©.

Mistrzostwa Polski okazały się nietuzinkowym połączeniem wielu debiutów. Przede wszystkim, były to pierwsze Mistrzostwa Polski w Boulderingu rozgrywane w Warszawie i po raz pierwszy na BLOCO piątkowe eliminacje zostały rozegrane w standardowej formule zawodów pucharowych (5 przystawek, strefa i takie tam). Dodatkowo, po raz pierwszy w Polsce męskie eliminacje zostały zorganizowane w dwóch równoległych grupach, co spowodowało lekkie zamieszanie wśród sędziów, ale finalnie przebiegło bez zbędnych opóźnień i znacznie skróciło czas przebywania zawodników w strefie. Jak łatwo policzyć, jednocześnie wspinało się na 15 przystawkach, które zajęły praktycznie całe BLOCO. Nad przebiegiem eliminacji czuwało piętnastu sędziów wyłonionych spośród wolontariuszy. Jakby ktoś nie wiedział, jest to dość stresujące zadanie. Każdy z sędziów bardzo się przykłada do swojej roboty

i po kilku godzinach liczenia przystawek jego mózg zużywa dużą ilość energii. Nie wiem, kto jest bardziej zmęczony po eliminacjach – sędzia czy zawodnik. Również w strefie pojawiła się nowość, o której trzeba wspomnieć – duża rozgrzewalnia mocowana do konstrukcji w części crossfitowej.

W sobotę rano rozegrano półfinały Mistrzostw (tu już nie ma opcji – zawsze są ze strefą) i – po ekspresowym dokręceniu przystawek – zaczęła się część dla zawodników mniej zadowolonych ze swojej formy czyli równoległe zawody Bloco Losers. Jak napisałem wcześniej, częścią wspólną wszystkich zawodów na BLOCO jest duża ilość przystawek i... rzesza zawodników. Tym razem liczebność tej rzeszy znacznie przerosła oczekiwania organizatorów (liczono na zainteresowanie o połowę mniejsze) i – ze względu na skrócony do 5h czas eliminacji – tłok panujący na ścianie był gigantyczny. Kto nie był, niech wyobrazi sobie kolejkę do rejestracji i kilkadziesiąt osób startujących jednocześnie. Przepraszamy... Wyciągnęliśmy wnioski.

Zawodnicy Bloco Losers mieli standardowo 40 problemów do pokonania. Niektóre zostały jeszcze z eliminacji i półfinałów Mistrzostw, lecz i tak chwytwi mieli tym razem znacznie więcej roboty do wykonania. Oczywiście dla Losersów również zaplanowano finały, ale awansowały do nich jedynie dwie zawodniczki i dwóch zawodników.

Po eliminacjach Losersów nastąpiła przerwa techniczna i finały. Nie wiem, czy chwytwi przeprowadzają jakieś próby, ale znowu zdążyli co do minuty – my także. W tej części pojawiły się kolejne nowości – profesjonalne nagłośnienie i większa trybuna dla widzów. Efekt możecie podziwiać na świetnych zdjęciach **Szymona Aksienionka**. Przed finałami Mistrzostw Polski rozegrano następny nowy element czyli finały Losersów. Odbłyły w formule równoległej, znanej chociażby z zawodów Adidas Rock Star – dwóch zawodników, dwie identyczne przystawki i kto pierwszy ten lepszy. 20 minut – i było po robocie, zwycięzcy zostali wyłonieni. O finałach Mistrzostw Polski nie będę się rozpisywał – atmosfery nie da się opisać i przed ekranem komputera jej nie poczuć. Po finałach przyszedł czas na ostatnią nowość – podstawiony ikarus zabrał rozbawiony tłum bezpośrednio na imprezę do Klubu Mandala.

Bloco Masters 2016 były prawdziwą rewolucją – wysokie nagrody po części (oczywiście bez lobbingu by się nie obyło) zachęciły do udziału wielu czołowych zawodników. Wystartowało między innymi trzech mistrzów świata: **Dima Sharafutdinov**, **Alexey Rubstov**

i niespodzianka zawodów – **David Lama**. Tym razem, aby uniknąć tłoku, zaplanowano rozegranie czterech pięciogodzinnych grup eliminacyjnych, o liczebności do 150 osób. Niestety, ze względu na to ograniczenie, około stu zawodników odesłano z kwitkiem. Trzeba w tym miejscu zaapelować na przyszłość, gdyż wiele zgłoszonych osób nie stawiało się na zawodach i nie raczyło poinformować organizatorów o zmianie swoich planów. Warto zachować trochę powagi i przyzwoitości. Zgłoszenie zobowiązuje. Wystarczył krótki mail i można było zwolnić miejsce dla innych.

Te zawody również podzielono na dwie części: Mastersów i Losersów. Na uczestników czekało 30 wspólnych problemów, 10 łatwiejszych dla Losersów i 10 trudniejszych dla Mastersów. W sumie nakręcono 50 baldów. Do tego celu wykorzystano także rozgrzewalnię, dodatkowo zwiększając powierzchnię panelu na BLOCO. Tym razem można było powspinać się do woli – kompletny brak kolejek, problemy jak zwykle w pełnym przekroju trudności i 5h wspinania dla każdego. Świetne przystawki nakręcił nietuzinkowy team chwytowych – **Tomek Oleksy**, **Adam Pustelnik** i **Olo Romanowski**, wspomagani przez **Olę Niemiec** i **Adama Pracownika**. Jak widać, od razu założono, iż roboty tym razem będzie jeszcze więcej.

Zagraniczni mistrzowie pokazali klasę i z Polaków do męskich finałów dostał się jedynie **Mechanior**, godnie reprezentujący własne boisko. Widzowie oglądający finał w sieci mogli podziwiać następną nowość czyli iście profesjonalny anglojęzyczny komentarz Adama Pustelnika i **Grzegorza „Żółwia” Karolaka**. Eurosport może ich brać w ciemno! Przed finałami Mastersów znowu rozegrano finał Losersów, zorganizowany ponownie w formule równoległej, a potem mogliśmy już podziwiać prawdziwych mistrzów w akcji. Tym razem nawet Mechanior nie narzekał, że nie było przystawek testujących prawdziwą siłę. Po zawodach znowu był ikarus, Mandala i impreza do rana – ta również wyjątkowa!

Zapewne następne zawody również będą charakteryzowały się jakimiś drobnymi nowościami. Kilka elementów postaramy się zorganizować jeszcze lepiej. Większych zmian się jednak nie spodziewam. Poprzedzka już jest ustawiona bardzo wysoko.

Oczywiście żadne zawody nie odbyły by się bez gigantycznej pracy włożonej przez ekipę BLOCO, chwytowych i rzeszę wolontariuszy klubowych. Ze swojej strony chciałbym im jeszcze raz bardzo podziękować. Liczę na Waszą pomoc w przyszłości – pamiętajcie, że to Wy jesteście prawdziwą siłą Klubu i że bez Was na pewno się nie uda.



UKA
ZAWODY NA BLOCO



zdjęcia: Szymon Aksienionek



zdjęcia: Szymon Aksienionek



Nagrody UKA im. Łukasza Wajsa AD 2015

W tym roku Kapituła Nagrody jednomyślnie postanowiła przyznać **cztery nagrody główne i aż siedem wyróżnień**.

Wyróżnienia w wysokości 200 PLN otrzymali:

- **Michał Kulpiński** za swoje pierwsze 8b+/b+ RP, czyli *Philippe Cuisinere* w Rodellar. Michał ma dopiero 19 lat.
- **Jerzy Laskowski**, który w wieku zaledwie 18 lat przeszedł swoją pierwszą 8b RP – *Abregnief* w St. Leger.
- **Szymon Łodziński** za kolejny rok na najwyższym poziomie, na czele z poprowadzeniem drogi *Strelavod* w Ospie (8c, RP) oraz szeregu innych trudnych dróg – do 8b+ RP i 8a+ OS. Szymon był także trzeci w klasyfikacji generalnej Pucharu Polski w Boulderingu.
- **Stefan Madej** za poprowadzenie drogi *Geminis* w Rodellarze (8b+/c, RP) oraz wielu innych dróg do 8b+/b+ RP.
- **Jakub Jodłowski** za zajęcie pierwszego miejsca w klasyfikacji generalnej Pucharu Polski w Boulderingu oraz trzeciego miejsca w Mistrzostwach Polski w Boulderingu.
- **Krzysztof Banasik** za szereg mocnych wspinaczek tradowych w angielskim gritstone (trudności do E5, 6b), co jest najlepszym zestawem klubowych wspinaczek tradowych na terenie Zjednoczonego Królestwa, oraz za najszybsze (14,5h) przejście zimowe *Superparanoi* (M7+, A1) na Kazalnicy.
- **Bartek Kurowski** za mocne przejścia letnie w Tatrach (m.in. *Kastrator IX*- na Młynarczyku) oraz Yosemitech (m.in. szybkie przejście *Salathe Wall* i *Lurking Fear* na El Capitanie) – w zespole z Michałem Przybyło (KWW).

Nagrody Główne w wysokości 500 PLN otrzymali:

- **Anna Thiele-Wieczorek** za szereg znakomitych przejść skalnych, na czele z poprowadzeniem swojej pierwszej drogi o trudnościach VI.5+ RP – *Gorączka sobotniej mocy*, co stawia ją w ścisłej czołówce wspinających się Warszawianek.
- **Agnieszka Tyszkiewicz**, za pierwsze polskie przejście drogi *Supercnaletta* na Fitz Royu. Agnieszka jest dopiero drugą Polką na tym szczycie.
- **Marcin Wernik** za świetny alpinistycznie rok, obejmujący m.in. pierwsze polskie przejście drogi *Supercnaletta* na Fitz Royu w argentyńskiej Patagonii, oraz udział w eksploracyjnej wyprawie do Karakorum, gdzie w dolinie Tagas, wraz z Maciejem Bedrejczukiem, Tomkiem Klimczakiem i Maciejem Janczarem (wszyscy KWW) zdobył dziewiczy szczyt (5809 m)

nową drogą *Rolling (D)Ice* (1450 m, ED1/2 A15, 80 st, M5), a także wspiął się linią *Polish Couloir* (ED2, A15, 90st, M7-, 1500 m) osiągając dziewiczą przełęcz, podczas próby na niezdobytym sześciotysięczniku.

- **Wojtek Ryczer**, który w zespole z Marcinem Rutkowskim i Rafałem Zającem (OBAJ WKW) poprowadził drogę *Hard Camping* (ED2, M7, W15, R, ok. 1600 m), zdobywając dziewiczy szczyt **San Lian East 6368 m** w chińskiej prowincji Syczuan.

Wyjazdy klubowe

W dniach 27-29.03.2015 w Tatrach odbył się **wyjazd lawinowo skiturowy**. Było szkolenie lawinowe z prawdziwego zdarzenia, wycieczka do **Doliny Staroleśnej** i dopełniające udanego weekendu zjazdu w rejonie Hali Gąsienicowej (więcej na stronie 90). Uczestnikom podobało się tak bardzo, że w tym roku, czyli 4-6.03.2016 odbył się kolejny **skiturowy weekend** tym razem w **Dolinie Chochołowskiej**.

W czerwcu miał miejsce wyjazd do **Rabstajnu** a latem odbył się tradycyjny już obóz górski – tym razem, nie po raz pierwszy zresztą, w **Ailefroide**, czyli **Alpach Delfinatu**. Co prawda uczestników rejon przywitał deszczem, lecz przez resztę czasu pogoda była standardowa (czyt. lampa na okrągło). Każdy, niezależnie od preferencji (skałki, wielowyciągi, tury alpejskie, bouldery, jeziorko...), miał się w czym realizować



Obóz w Ailefroide
fot. Marek Kaliciński

Życie obozowe toczyło się wieczorami na kempingu. Znaleźliśmy fajną, zacienioną miejscówkę w pobliżu recepcji, a **Witek Tafel** ciepło gościł nas jako lokals (pracował w Ailefroide), pomagając i udzielając cennych rad. Wśród najciekawszych wspinaczek była 12 wyciągowa droga *Crétin des Alpes* (6c) i *Engat's aux Arcas* (6b, 16 wyc.). Działano w masywie Ecrins, podjęto próby przejścia drogi z lodowca Noir oraz zrobiono drogę na Aiguille de Sialouze. Po tygodniu uczestnicy wyjeżdżali z lekkim niedosytem. Niezrealizowane cele pozostały.

Wigilia Klubowa

W piątek, 11 grudnia 2015 na **Arenie Wspinaczkowa Wgórę** odbyło się spotkanie wigilijne UKA. Kluczowym elementem imprezy były zawody boulderowe dla klubowiczów. W tym roku tematem przebrania był bohater komiksu. Mimo kameralnego, klubowego charakteru impreza była nadzwyczaj udana, a uczestnicy mieli sporo uciechy z rywalizacji i komiksowego klimatu imprezy!



Organizator Wigilii Klubowej
fot. Szymon Aksieniek

V Bieg ŻUKA

W środę, 10 czerwca 2015 odbył się piąty Bieg ŻUKA. Ze względu na biegowe zboczenie organizatorów tym razem możliwe było jedynie bieganie z mapą w rękę. Startujący mogli polatać z profesjonalnymi mapami do biegu na orientację (jeszcze raz dziękujemy za użyczenie podkładów **Jackowi Morawskiemu** z UNTS-u). Wyznaczone zostały dwie trasy (krótka i długa). Wystartowało 28 osób. Całość wpisowego jak zwykle została przekazana na **Fundusz Berbeki**. Na trasie krótkiej zwyciężyli **Magda Zemlak** i **Karol Sulej**. Na trasie długiej **Anna Sejbuk** i **Paweł Motel**. Szykujcie się na VI odsłonę!

UKA jako współorganizator

Klub w 2015 roku organizował lub współorganizował szereg imprez. Poza licznymi pokazami zdjęć i filmów, wspólnych wyjazdów i obozów, imprezy wigilijnej, UKA współorganizowało szereg imprez o znacznie szerszym zasięgu – Zawody z cyklu **Bloco Masters**, **Mistrzostwa Polski** w Boulderingu i **Bloco Losers** (szczegóły patrz str. 54).

Klub był też partnerem drugiej edycji **Flexistav Bieg Granią Tatr**, która odbyła się 15 sierpnia. W zawodach wspaniale reprezentowali nas: **Joasia Kamer**, **Piotr Kobierski**, **Rafał Piasecki** i **Marcin Wernik**.

Koszulki Klubowe

Zarząd wypuścił nową serię koszulek klubowych, z zupełnie z nową grafiką, zaprojektowaną przez naszego klubowego kolegę **Janka Sołygę**. Koszulki dostępne są w dwóch kolorach dla łojantek i dwóch dla łojantów.



Grafika na koszulce klubowej
projekt STROMO/Jan Sołyga

Konkurs fotograficzny UKA 2015

11 grudnia, w trakcie Wigilii Klubowej ogłoszono laureatów klubowego konkursu fotograficznego.

Kapituła w składzie: **Jakub Radziejowski, Wojtek Ryczer** oraz **Stefan Madej** postanowiła nagrodzić następujących autorów:

W kategorii zdjęć **wspinaczkowe** wygrała **Marta Czajkowska** ze zdjęciem „Siurana”.

W kategorii zdjęć **okołowspinaczkowe** zwyciężył **Jacek Patrzykont** ze zdjęciem „Krótka lonża”.

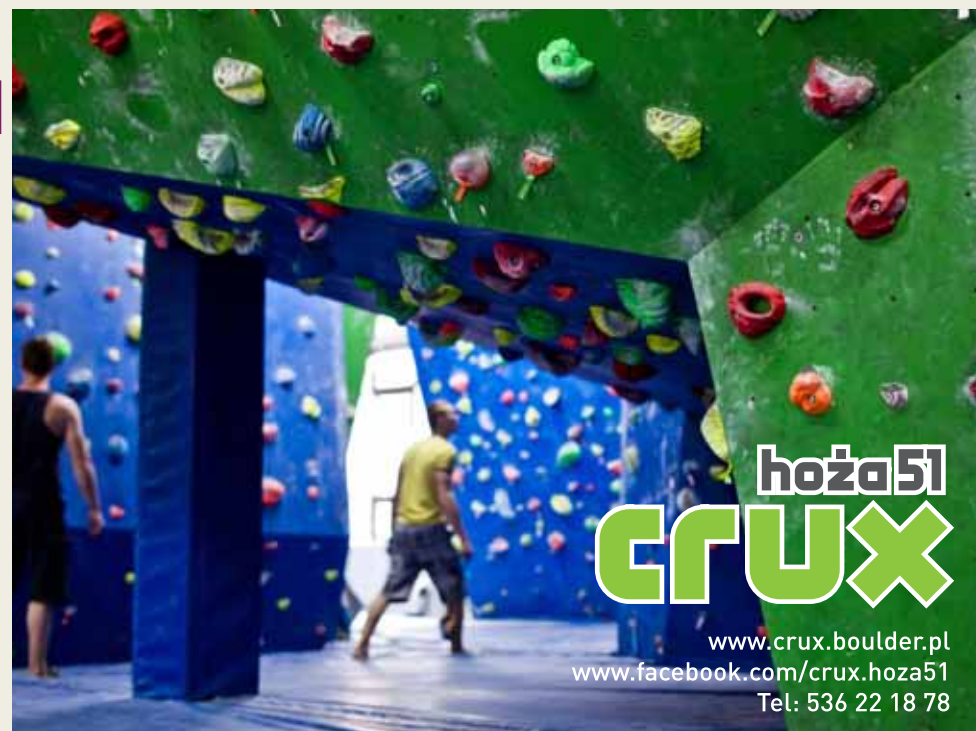
W kategorii zdjęć **krajobrazowe** wygrała **Justyna Drobkiewicz** ze zdjęciem „A co się może panu w puchu stać? Miękkie to, białe... Ruszaj pan, dalej jazda!”



Zdjęcie okołowspinaczkowe, I miejsce – Jacek Patrzykont
Krótka lonża



Zdjęcie wspinaczkowe, I miejsce – Marta Czajkowska
Siurana

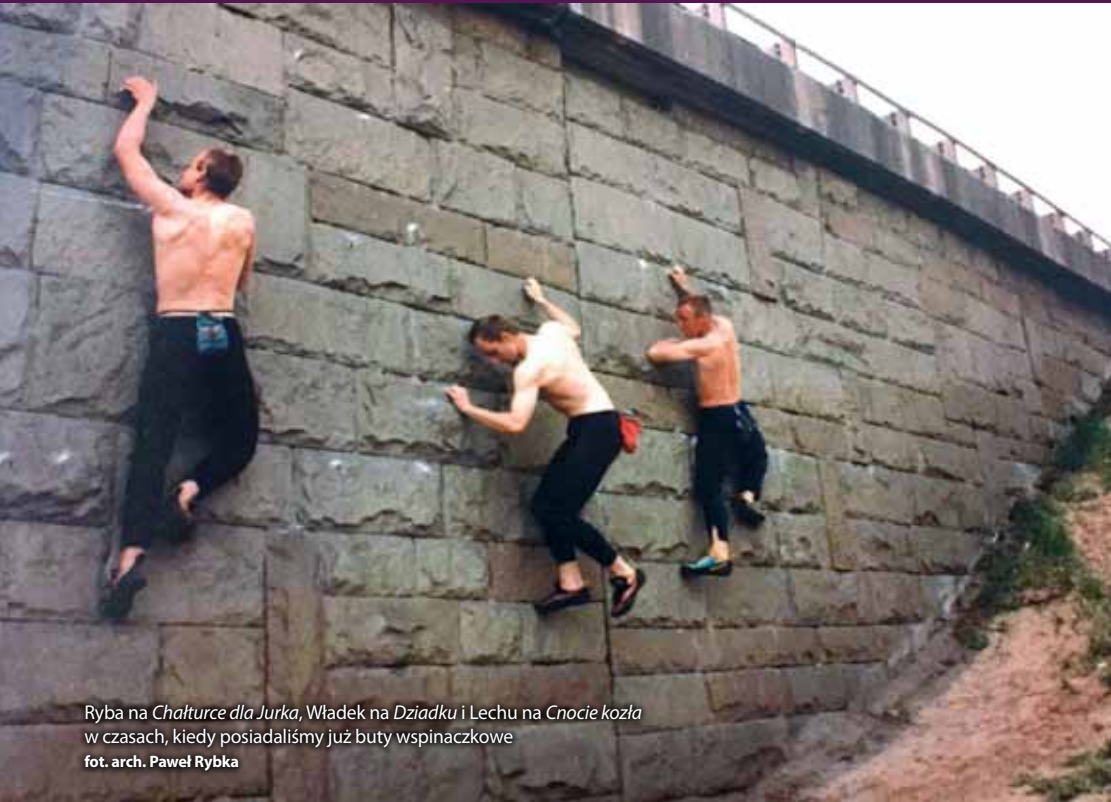


Zdjęcie krajobrazowe, I miejsce – Justyna Drobkiewicz
A co się może panu w puchu stać? Miękkie to, białe...

Most Grota

Historia warszawskiego wspinania

Marcin Wernik



Ryba na *Chalturce dla Jurka*, Władek na *Dziadku* i Lechu na *Cnocie kozła* w czasach, kiedy posiadaliśmy już buty wspinaczkowe
fot. arch. Paweł Rybka

Na Moście Grota stawiałem swoje pierwsze kroki wspinaczkowe. Wychowałem się na Bródnie, jakieś 15 minut od Mostu, a od znajomego dowiedziałem się, że można się tam wspiąć.

Samo wspinanie wydawało mi się wtedy straszliwie trudne i myślałem, że to raczej nie dla mnie. Ale kiedy usłyszałem o Grocie, to wyobraziłem sobie, że to będzie bardzo, ale to bardzo łatwe. Bardzo się myliłem ☺

Pierwszy raz pojechałem na Grota ze swoim kolegą z osiedla i próbowaliśmy zrobić cokolwiek, oczywiście w trampkach. Nic nam się nie udawało. Na szczęście spotkaliśmy jakiegoś wspinacza, który doradził nam, żebyśmy kupili „korkery”, czyli gumowe trampki do gry w piłkę nożną, koniecznie za małe, i obcieli im korki. Po kilku miesiącach pojawiłem się na Moście z „korkerami” bez korków. Spotkałem grupę znajomych z osiedla. I tak się zaczęło.

Specyfiką wspinania na Grocie były przede wszystkim małe krawadki i zapinane na nich lódy. Płyty z piaskowca oferowały doskonałe tarcie, co błyskawicznie zjadało buty. Robiliśmy przede wszystkim trawersy: Lewy, zwany Rumuńskim (od strony Żerania znajdowało się cygańskie obozowisko i miejscowi bardzo często przychodzili nas oglądać i dopingować, nie mówiąc o próbach wspinania po pijaku, co bywało dość zabawne), Środkowy i Prawy.

Pokonanie najłatwiejszego Rumuńskiego Trawersu – po wszystkich chwytach – zajęło mi jakieś dwa tygodnie. Potem był Środkowy, najdłuższy, około sześćdziesięciometrowy o trudnościach ok. VI. Walczyłem na nim długo, z zazdrością patrząc na tych, którzy potrafilo po nim chodzić tam i z powrotem. Prawy był już formalnością.

Poza trawersami, wspinaliśmy się na ścianie boulderowej o wysokości 6-7 metrów w najwyższym miejscu, jedynej z trawiastym lądowaniem (nie było wtedy takich ułatwień jak crashpady). Pierwszym baldem była rysa przecinająca ścianę przez środek. Nazywaliśmy ją Babcią i wycenialiśmy na VI (potem powstał wariant z nogami w rysie wyceniony na jakieś VI.3). Obok był *Dziadek* (też za VI) i szereg innych baldów o trudnościach od VI.1 do VI.3., wśród nich między innymi *Cnota*

kozła czyli *Prostowanie kręgosłupa*, *Chalturka dla Jurka*, *Paluchy w pi(…)chy* czy *Pogrzeb w Szczecinie*. Był też trawers z ograniczeniem Rż(…)m Cindy Crawford. Chyba żadnego problemu nie wycenialiśmy na więcej niż VI.3, ale to było trochę jak ze słynnym „czystym sześć-pięć” w skałach.

Na ścianie naprzeciw *Babci* był wytyczony – po oznaczonych chwytach – kolejny trawers, *Pluco Łucji*, wyceniany wtedy na VI.4+. Pamiętam twarz autora, ale za nic nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywał. I nie wiem, czy *Pluco* tyle miało, bo nigdy nie udało mi się go powtórzyć. W każdym razie, wtedy to była najwyższa, choć nieoficjalna, cyfra.

W tym okresie lądowałem na Moście prawie codziennie, a sesje często kończyliśmy tanim winem nad Wisłą. Potrafilismy też powiesić własnej roboty „bacharkę” i na niej lądować. Byłem tak wkręcony we wspinanie, że potrafiłem przejechać wspinaczkę na Grocie zimą przy temperaturze -20 stopni. Kwadrans wspinania i ból powracającego kręgosłupa w palcach.

Później miałem przerwę, przeprowadziłem się pod Warszawę, rozmnożyłem i roztyłem o jakieś 15 kilogramów. Kiedy powróciłem do wspinania, pojawił się też sentyment do Grota i zacząłem znów tam jeździć, głównie z Koszmarkiem (Krzyśiek Kaczmarek – od red.). Działała

Ściana wspinaczkowa

OBOZOWA

www.obozowa.waw.pl
tel. 0 - 697 837 198

On Sight Centrum Wspinaczkowe
Hala Sportowa "Kolo"
ul. Obozowa 60
01-423 Warszawa

otwarte codziennie:
pon-piąt - 8.00-22.00
sob-niedz - 10.00-22.00



Marcin Wernik (z lewej) i Paweł Rybka na Grocie
fot. arch. M. Wernik

tam już inne ekipy i to dość mocne, między innymi Gmaju i chłopaki ze WspinVision oraz Młody z Klonem.

Największą dumę poczułem, kiedy spotkałem dwóch bardzo mocnych młodych zawodników. Zapytałem ich, co uważają za bardzo trudne na Grocie, a oni wymienili balda mojego autorstwa. Nie przyznawałem się, bo było mi wstyd, że jestem w tak słabej formie i z tak wielkim „saturnem” dookoła bioder ☹.

Nie było już obozowiska Rumunów, ale za to w kanałach mieszkali bezdomni i po ziemi było sporo „pozostałości” pod trawersami. Kilka razy zapłaciłem im za sprzątnięcie terenu i tak zyskałem przezwisko Kustosz Grota.

Z ekipą Gmaja toczyłem sporo dyskusji dotyczących wycen. Uważali, że wszystkie wyceny zaniżam. Może to było wynikiem naszego „czystego VI.3”. Z drugiej strony, porównując moje trawersy czy baldy do ich „cyfry”, robiłem wtedy jakieś VI.5, a w skałach nigdy nawet nie zbliżyłem się do tego poziomu.

Jedną z ciekawostek Grota był skok o długości 220 cm zrobiony przez Młodego i Klona. Wybicie było z dobrej klamy, leciało się do krawędzi mostu. No, ale nie było to wyzwanie dla takich kurdupli jak ja.

Z Koszmarkiem mieliśmy nawet pomysł zrobienia przewodnika po Grocie, ale nigdy go nie wdrożyliśmy w życie. Za to na stronie WspinVision było topo, choć rysunki opisywały raczej nowopowstałe przystawki. Strona dalej istnieje. Z sentymentem tam zajrzałem i przeczytałem, że wyceny są w skali WM czyli „Wycena Mostowa, nie martwcie się, jak VI wam nie wchodzi”.

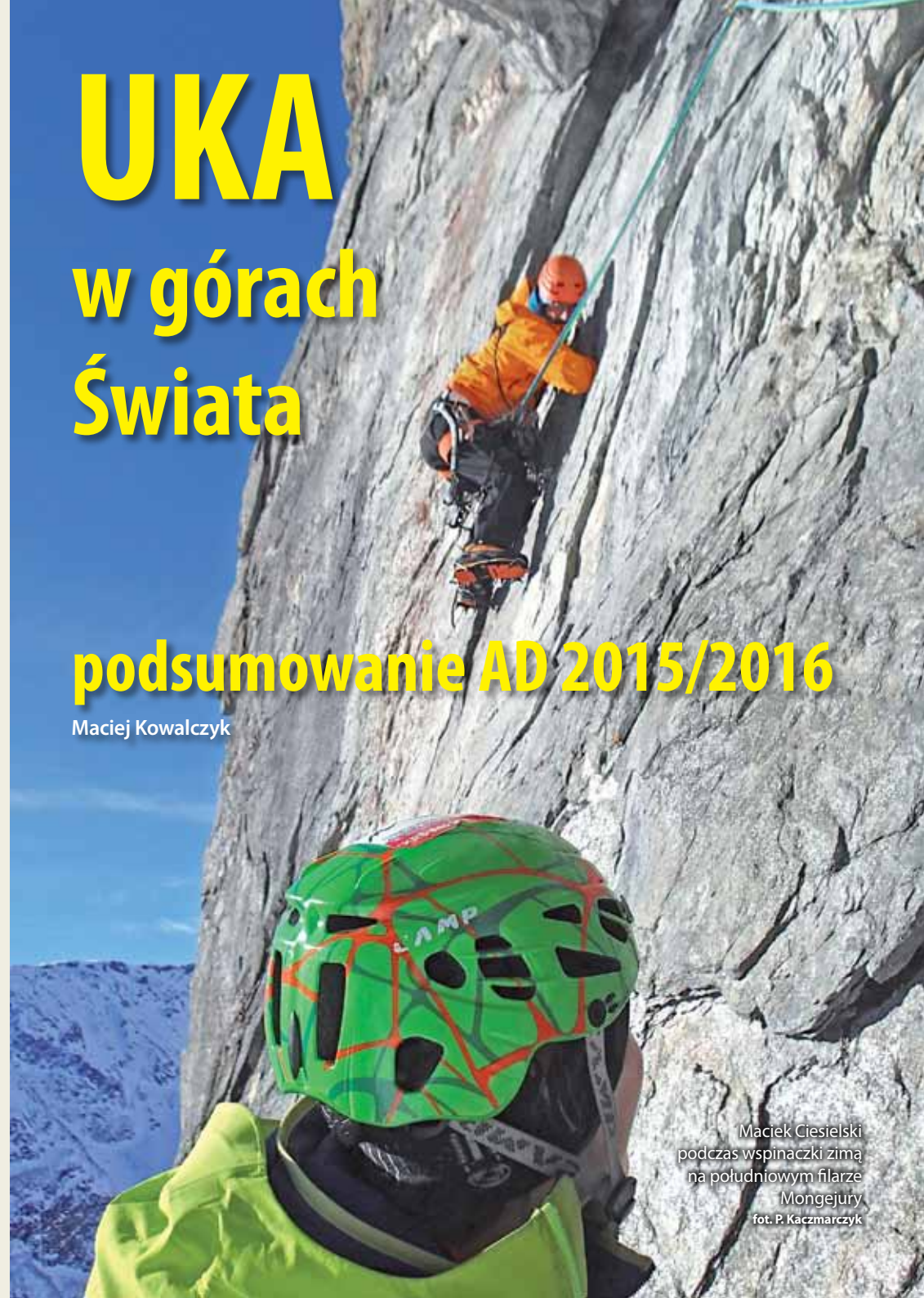
Niestety, rok temu przy remoncie całej trasy elewacja Mostu została rozebrana i tak kawał historii warszawskiego wspinania odszedł w niebyt. W tym tekście zapewne przedstawiłem tylko jedno ze spojrzeń na wspinanie na Moście; ekip tam działających było sporo i każda z nich starała się wnieść coś swojego. Tyle zapamiętałem po latach.

UKA

w górach Świata

podsumowanie AD 2015/2016

Maciej Kowalczyk



Maciek Ciesielski
podczas wspinaczki zimą
na południowym filarze
Mongejury
fot. P. Kaczmarczyk

Przeglądając poniższe zestawienie przejęć klubowiczów na Świecie można z pewnością odnieść wrażenie, że miniony rok był jednym z najbardziej udanych w historii naszego Klubu. Aby się o tym przekonać wystarczy spojrzeć na listę tegorocznych nominacji do (prawie) najważniejszej nagrody wspinaczkowego świata, czyli Złotego Czekana. Na tej liście znalazły się dwa przejścia naszych klubowiczów. Pomimo tego, iż żadna z nich nie uzyskała nagrody, to i tak jest to na pewno historyczny sukces.

Jednym z przejęć docenionych przez międzynarodowe jury jest zdobycie dziewiczego pd-wsch. wierzchołka San Lian w chińskim Syczuanie przez zespół składający się z **Wojtką Ryczerą** i jego dolnośląskich partnerów. Licząca sobie 1600 metrów droga *Hard Camping* została otwarta w trakcie czterech dni, a cała wyprawa trwała niemal miesiąc. Droga okazała się bardzo wymagająca, a sama wspinaczka obfitowała w wiele przygód, których opis możecie znaleźć na str. 74. Przejście to zdobyło także główną nagrodę gdyńskich Kolosów 2015 w kategorii Alpinizm.

Druga nominacja, także wyróżniona na Kolosach, dotyczyła jednej z najbardziej interesujących polskich wypraw ostatnich lat. Zespół, w skład którego wchodził **Marcin Wernik** oraz trzech napieraczy z KWW, jako pierwszy uzyskał pozwolenie na działania wspinaczkowe w Dolinie Lachit w Karakorum. Chłopaki bardzo dobrze wykorzystali daną im szansę zdobywając dziewiczy

szczyt ochrzczony mianem Dreamwalker, za co właśnie znaleźli się na szerokiej liście nominowanych do Złotego Czekana. Panowie wspięli się także trudnym kulwarem osiągając dziewiczą przełęcz, podczas próby na niezdobytym sześciotysięczniku, roboczo nazwanym Ogrem. Więcej o wyprawie pisze Ser Nix na str. 78.

Marcin działał też po raz kolejny w Patagonii, gdzie przeszedł z **Agą Tyszkiewicz** dwie piękne skalne linie dorzucając kolejne szczyty do ich – coraz bardziej bogatego – patagońskiego wykazu. Kilkaście dni później Marcin zdobył słynną „pożeraczkę palców” – Cerro Torre – drogą Ferrariego (*Ragni Route*). Aga z Marcinem z podziwu godną konsekwencją wędrują co roku do Patagonii, trzymamy kciuki za dalsze projekty!

Osobą, której nazwisko najczęściej przewija się w tegorocznym zestawieniu jest **Maciek Ciesielski**. Myślę, że z dużą dozą pewności można stwierdzić, że nasz niezawodny MC spędził najwięcej czasu w górach ze wszystkich klubowiczów. W tym wypadku ilość szła też w parze z jakością i Maciek może pochwalić się wieloma świetnymi przejęciami, z których wyróżnić trzeba trudne, letnie propozycje francuskich Alp. W Chamonix działał również **Marcin Księżak**, który wraz z kolegą z KWW, niedługo przed zamknięciem BUKI pokonał drogę Allaina na północnej ścianie Dru. Ta poważna linia oferuje wysokie trudności zimowe oraz hakówkę i zmusiła chłopaków do dwóch biwaków. Tyle samo czasu potrzebował **Maciek Ciesielski**, aby kilkanaście dni wcześniej, w mocnym górskim składzie pokonać ponad kilometrowej długości południowy filar norweskiej Mongejury.

Kolejnymi ciekawymi powtórzeniami może pochwalić się **Bartek Kurowski**, który podobnie jak przed rokiem udał się za ocean w poszukiwaniu *american dream*. Rzut oka na wykaz przejęć pozwala stwierdzić, że poszukiwania okazały się owocne. Na szczególne wyróżnienie zasługuje przejście w 36 godzinny non-stopie słynnego *Salathe Wall* na El Capitanie. Ze smutkiem obserwujemy więc zmiannę przez tego zawodnika skalnych zerw na taneczny parkiet (patrz str. 81). Bartku, jeszcze nie jest za późno, by wrócić na właściwą drogę!

We wstępie napisałem, że Złoty Czekan nie jest najważniejszą nagrodą środowiska wspinaczkowego. Mam nadzieję, że to oświadczenie było dla wszystkich czytelników jasne i wiedzą oni, że ta najbardziej pożądana z nagród przyznawana jest dopiero pod koniec roku. W rzeczy samej, kapituła Nagrody UKA im. Łukasza Wajsa miała twardy orzech do zgryzienia (szczegóły patrz str. 60)! Nie pozostaje zatem nic innego, jak tylko życzyć wszystkim Klubowiczom, byśmy postarali się w nadchodzących miesiącach ten wybór jeszcze bardziej utrudnić!



Alpamayo
fot. Maciej Stolarczyk

Wykaz przejęć górskich 2015 i 2015/2016

Legenda:

AKG – Akademicki Klub Wysokogórski Łódź
KWO – Klub Wysokogórski Olsztyn
KWP – Klub Wysokogórski Poznań
KWT – Klub Wysokogórski Toruń
KWW – Klub Wysokogórski Warszawa
WKW – Wrocławski Klub Wysokogórski
WP – Wojsko Polskie

ANDY

Radosław Wróbel, Maciej Stolarczyk (WP)
Alpamayo, *Droga Francuska* (D+, 80°, OS, 370 m, 17h),
15.06.2015

ARCO

Rafał Nawrot, Beata Bubik (KWO)
Colodri, *Brunello Somadosii* (VII OS)
Colodri, *Katia Monte* (VII OS)
Colodri, *Renata Rossi* (VI+ OS)

CHAMONIX

Marcin Księżak, Alek Barszczewski (KWW)
Petit Dru, *Allain-Leinenger* (M7+, A1), 18-20.03.2016

Maciek Ciesielski, Wojtek Michalski (KWW)
Aiguille du Blaitière, *Fidel Fiasco* (6c+ RP)

Maciek Ciesielski, Czarek Modrzejewski (KWT)
Chandelle du Tacul, kombinacja *Taboo/Bonatii* (7b, 1xAF)
Trident du Tacul, *Les Intouchables* (7b+ RP, trudności OS), prawd. 1 pol. przejście

Maciek Ciesielski, Adam Pustelnik (AKG)
Aiguille du Moine, *Sale Athée* (8a za 7b+ 3xA0, reszta OS)

Maciek Ciesielski z klientami

Aiguille du Pelierins, *Voie Rébuffat-Terray* (M6, 750 m)
Gendarme du Peigne, *Voie Contamine* (6a OS, 400 m, 4h)
Grand Capucin, *Voyage de Gulliver* start *Elixir d'Astaroth* (7a+ A0, 1xAF)
Pointe Adolphe Rey, *Fil au face* (7a OS, 250 m)
Pointe Adolphe Rey, *Voie Betterbourg* (6b + war. start. 7a OS, 250 m)
Pointes Lachenal, *Goulotte Pellissier* (M6 OS, 220 m)
Pointes Lachenal, *M6 Solar* (M6 OS, 200 m)

Maciek Kowalczyk, Sławek Szlagowski (KWP)
Tour Rouge, *Lalchimie du temps qui passe* (6b+ OS)
1st Pointe des Nantillions, *Amazonia* (6a+ OS)
1st Pointe des Nantillions, *L'age de homme* (6c OS)
Aiguille de Roc, *Pedro Polar* (6b, OS)



Marcin Wernik na grzybie Cerro Torre
fot. arch. M. Wernik

Jakub Tkaczuk, Guillaume Mars

Grand Capucin, kombinacja *Voie des Suisses/O Sole Mio* (6b, OS)

Aga Tyszkiewicz, Marcin Wernik

Aiguille du Peigne, *Contamine-Vaucher* (6a OS),

z **Mihnea Radulescu**

Tour Rouge, *Le Marchand de Sable* (6a+, 2xA0)

Marcin Wernik

Les Courtes, *Voie des Suisses* (IV, 70-75°, free solo OS, 800 m, 4,5h), 04.2015

DOLOMITY**Dominik Wiśniewski, Paweł Bednarz** (KWW)

Cima Piccola, *Gelbe Mauer* (7a+ flash)

Piz Ciavazes, *Via le moto del Sella* (7a+ flash)

HOLLENTAL**Mateusz Kluźniak, Krystian Lorent** (HK Atlas Opava)

Blechmauer, *Rosenhochzeit* (VI+ OS)

Lechnermauern, *Bartrisse* (VI+ OS)

Loswand, *Bergsteigerwandkamine* (VI- OS)

Rafał Nawrot, Piotr Zaremba (KWW)

Blechmauer, *Blechmauerverschneidung* (VI+ OS)

Blechmauer, kombinacja *Absurdistan/Blechmauerverschneidung* (VIII- RP, 230 m, 3h45)

Stadlwand, *Daham is Daham* (VII+ OS, 500 m, 9h30)

JORDANIA**Rafał Nawrot, Jacek Patrzykont**

Jebel Rum, *Pillar of Wisdom* (6b 1xA0, 6h15),

27.02.2016

KARAKORUM**Marcin Wernik, Maciek Bedrejczuk** (KWW),**Maciek Janczar** (KWW), **Tomek Klimczak** (KWW)

Dreamwalker, *Rolling (D)Ice* (ED1/2, AI5, 80°, M5, 1450 m), 5-6.09.2015

Podczas próby na niezdojnym szczycie w dniach 18-21.09.2015, zespół przeszedł też kuluar (*Polish Couloir*) osiągając dziewiczą przełęcz (trudn. ED2, AI5, 90°, M7-, 1500 m),

DOLINA ROMSDAL**Maciek Ciesielski, Paweł Kaczmarczyk** (KWW),**Piotrek Sułowski** (KWW)

Mongejura, *Sydpilaren* (6a+, M6+/A0, C1, 1100 m),

8-10.03.2015

PAKLENICA**Rafał Nawrot, Przemek Jakubczyk**

Anica Kuk, *Klin* (6c RP)

Anica Kuk, kombinacja *Domžalski/Brid za Veliki Cekic* (6a+ OS)

Debeli Kuk, *Senza Pieta* (6b+ OS, 1xA0)

Veliki Cuk, *Zimski Cvijet* (6a+ OS)

PATAGONIA**Marcin Wernik, Aga Tyszkiewicz**

Aguja Saint-Exupery, *Chiario di Luna* (6b+ 1xA0, 750 m, 12h30), 6.01.2016

Aguja Standhardt, *Festerville* (6c, 90° OS, 700 m), 9.01.2016, 1 pol. wejście na szczyt



Marcin Wernik
na szczycie Cerro Torre
fot. arch. M. Wernik

Marcin Wernik, Luca Bianco, Giacomo Deiana

Cerro Torre, *Ragni Route* (M4, 90° OS, 1000 m),

19.01.2016, 4 pol. wejście na szczyt

PERRONS DE VALLORCINE**Maciej Ciesielski, Wojtek Michalski** (KWW),**Jacek Obmiński** (KWW)

Pain de Sucre, *Brown Sugar* (7a OS, 350 m)

Maciej Ciesielski, Marcin Rutkowski (WKW)

Pain de Sucre, *A Bigger Bang* (7a OS, 350 m)

SYCZUAN (CHINY)**Wojtek Ryczer, Marcin Rutkowski** (WKW),**Rafał Zając** (WKW)

San Lian East, *Hard Camping* (ED2, M7, WI5, R, 1450 m), 6-10.10.2015

DOLINA YOSEMITE**Bartosz Kurowski, Michał Przybyło** (KWW)

El Capitan, *Lurking Fear* (5.7, C2F, 22h)

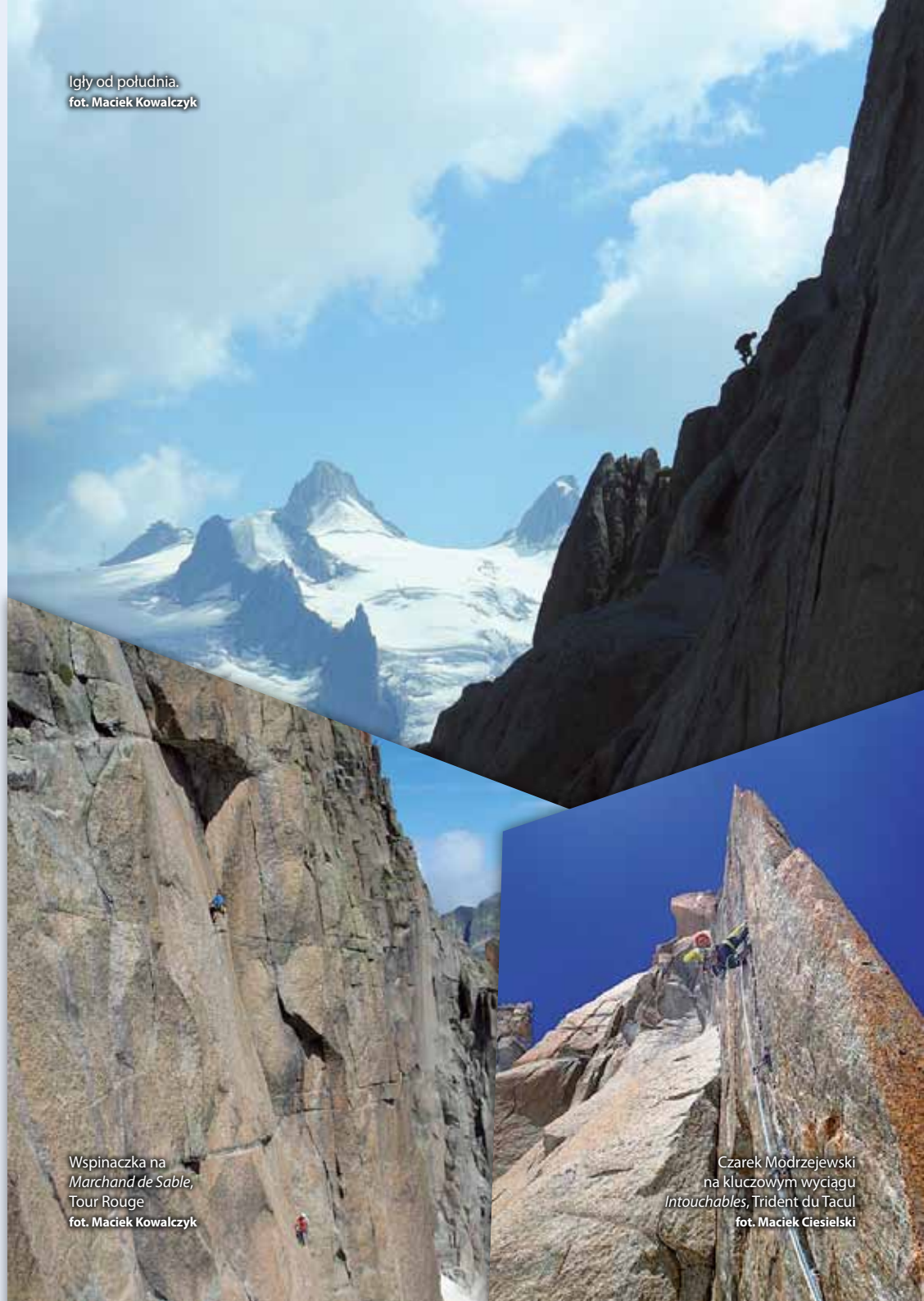
El Capitan, *Salathe Wall* (5.9, C2, 36h)

El Capitan, *West Face* (5.11c AF, 17h)

Middle Cathedral, *Direct North Buttress*

(5.11 1xPP/RP, 11h)

Igły od południa.
fot. Maciek Kowalczyk



Wspinaczka na
Marchand de Sable,
Tour Rouge
fot. Maciek Kowalczyk

Czarek Modrzejewski
na kluczowym wyciągu
Intouchables, Trident du Tacul
fot. Maciek Ciesielski

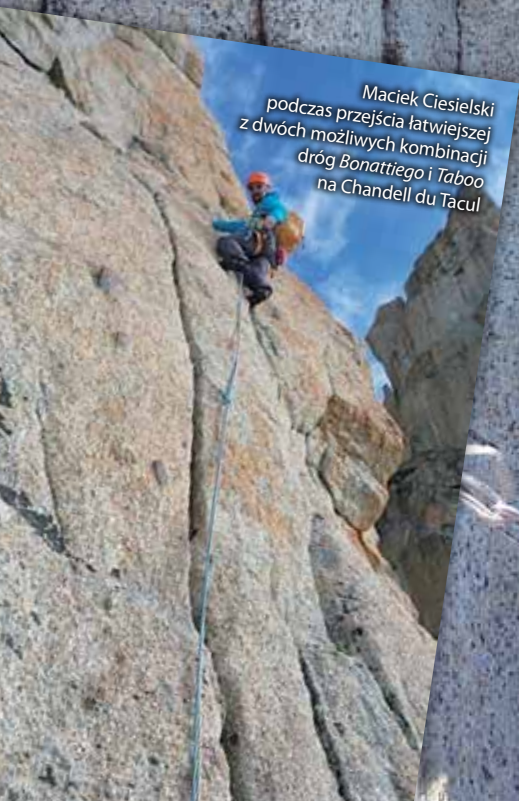
Wspinanie na Festerville,
Aguja Standhardt
fot. arch. M. Wernik



Kluczowe zacięcie
na Chiaro di Luna,
Aguja Saint Exupery
fot. arch. M. Wernik



Maciek Ciesielski
podczas przejścia łatwiejszej
z dwóch możliwych kombinacji
dróg Bonattiego i Taboo
na Chandell du Tacul



KSIĄŻKI GÓR
Księgarnia, antykwariat,
magazyn GÓRY, outlet,
prenumerata

Zapraszamy do kawiarni
wycieczkowej
ul. Złotowa 2
30-002 Wrocław
533 544 710

www.ksiazkigor.pl

tfo

Plener

Tekst i zdjęcia: Wojciech Ryczer

Budzę się wyziębiony kilka chwil po czwartej, w okolicznościach zwykłych od kilku dni. Spanie w namiocie bez śpiwora do przyjemnych nie należy.

Jesteśmy w górach od czterech tygodni. Za sobą mamy przeszło dwa tygodnie aklimatyzacyjno-transportowych kursów, pięć dni wspinania, zjazdu, męczące zejście – znoszenie szpeju. Czeką nas jeszcze zwinanie podstawowej bazy, przyjsięc tragarzy, powrót do cywilizacji.

Wczoraj wieczorem przypomniało mi się zdjęcie, które zainspirowało nas do przyjazdu do Syczuanu. Jest na nim nasz szczyt w czerwonej poświacie złotej godziny, przed wschodem słońca – kadr popularny, reklamowa wizytówka Parku Narodowego Hailugou, w którym jesteśmy. Dziś będziemy schodzić, nadchodzący poranek jest więc ostatnią szansą na to ujęcie. Pytam się w myślach, jak mogłem przegapić ten kadr. Z namiotu wygania mnie poczucie fotograficznego obowiązku, wspierane wychłodzeniem po niekomfortowej nocy.

Uzbrajam bolące opuchnięte stopy w skorupy. Opuszczam rododendronową polankę, zaczynam koślawo podchodzić na skraj moreny. Zygzak za zygzakiem, kombinuję jak mogę, by szło się jak najprościej. Kilkanaście minut marszu wypełnia niepewność, czy zdążę na czas.

Szarości ustępują, szczyt zaczyna ogarniać czerwona poświata. Zatrzymuję się w dwóch trzecich drogi.

Zapinam teleobiektyw. Robię kilka zdjęć opatrzonego już szczytu, bardziej z konsekwencji w poczuciu reporterskiego obowiązku niż z zachwytu nad ulotnością czy urodą chwili. Miejsce jest złe, część kadru przesłania sylweta moreny; na jej szczyt już jednak nie zdążę. Poświata przemija, wstaje słoneczny poranek.

Po drugiej stronie wschodnich grani powoli wschodzi słońce. Siedząc, obserwuję granicę cienia przesuwającą się po skalnej morenie w moją stronę. Z pokorą cierpliwie czekam na pierwsze energetyczne promienie, które wkrótce nadchodzą. Ogrzewam wymarznęte kości. Jest błogo przyjemnie. Podziwiam wieloplanową perspektywę doliny. Opadające granie wyglądają jak sklonowane w cyfrowym renderze. Ciesząc się chwilą, myślę o cechach wspólnych fotograficznych plenerów i górskich wyjazdów.

**Plener.
Wstajesz zwykle
wcześnie, po ciemku,
co niewygodne.**

Gonisz pełen obaw, czy zdążysz na rozpoznane wcześniej miejsce, lub nieco chaotycznie kręcisz się po okolicy niepewny, czy miejsce to znajdziesz. Wyczekujesz

decydującej chwili, okoliczności niezależnej, choć mimo wszystko nieroztropnie planowanej, np. promieni słońca. Działasz, jak umiesz najlepiej. Po wszystkim zbierasz manele i wracasz z czymś o niewymiernej wartości lub z niczym, choć zawsze niewątpliwie bardziej doświadczony. Na koniec jesteś niewyspany, przez cały dzień półobeczny. W szarej rzeczywistości być może pozostanie wspomnienie kilku ulotnych minut doskonałego światła oraz trwałe, mniej lub bardziej udane, kadry.

Wspinanie. Wyjeżdżasz zwykle w nieodpowiedniej chwili. Nieroztropnie liczysz na sprawdzenie się meteo lub na warun, choć faktycznie zwykle nie wiesz czego się spodziewać. Działasz. Czasem ciśniesz po znanej ścieżce, niekiedy improwizujesz. Wracasz z tarczą lub na niej, świadomy, że „sukces” ma wartość wyłącznie osobistą, średnio przystającą do komercyjnej codzienności, w której bądź co bądź próbujesz się odnaleźć.

Nieśpiesznie schodzę do namiotu. Chłopaki piją już kawkę. Kręcę się po okolicy by zgromadzić śnieg na swoją porcję – strumyczek jeszcze nie wstał, a placki firnu w pobliżu namiotu są raczej skromne. Dołączam do ekipy. Waldorf pyta: „I jak, udało się?”. Z lekkim grymasem odpowiadam: „I tak, i nie. Złapałem szczyt w poświacie. Niestety, nie zdążyłem i kadr jest przesłonięty sylwetą moreny”. Cieszę się jednak, że spróbowałem. Przypominam sobie energię pierwszych promieni słońca oraz fotograficzno-wyprawowe skojarzenia sprzed kilkudziesięciu minut.

**Zwykle nie dostajemy
tego, czego się
spodziewaliśmy.
Czy wiemy jednak,
czego dokładnie
chcemy,
w jakiegokolwiek
życiowej
dyscyplinie?**

Czy to ten wymarzony cel będzie tym najcenniejszym, skoro przecież i tak ocenimy go według własnych egoistycznych kryteriów?

Sportowy wynik wyprawy zaskoczył każdego z nas, owoc przerósł nasze oczekiwania. Linia drogi puściła, powspinaliśmy się doskonale, a w skali całej wyprawy wykorzystaliśmy praktycznie każdy dzień. Zespołowo spisałyśmy się świetnie, każdy dał z siebie co najlepsze.

Zaorani wytrzymałościowo, do kolejnej „ciekawej” dorzucamy pastylki ketonalu i zabieramy się za zwinanie naszej niewielkiej bazy. Szóstki tragarzy spodziewamy się za dwie godziny, o jedenastej.

PKP do Wrocławia, 26 stycznia 2016



BC1 podczas księżycowej nocy

Grań główna San Lian, po pokonaniu ściany w drodze na nasz wierzchołek. Wysokość około 6235m.

Marcin Rutkowski, Wojtek Ryczer i Rafał Zajac

Dziewiczy szczyt: San Lian South East, droga *Hard Camping* (6250 m) trudności: ED2, M7, WI5, R.

Wyprawa nie odbyłaby się bez dofinansowania z Funduszu Zawady przyznanego przez **Fundację Kukuczki** oraz bez dofinansowania z Komisji Wspinaczki Wysokogórskiej **Polskiego Związku Alpinizmu**. Dziękujemy również sponsorom sprzętowym: producentowi rękawic – **Monkey's Grip**, namiotów – **Marabut**, ciuchów – **HiMountain**. Za udzielone rabaty dziękujemy **LyoFood**, **ZmianyZmiany.pl**, **Skalnik** z Wrocławia.

Pierwsze koty za płoty. Rutek dochodzi do stanu po przemałpowaniu pierwszego wyciągu. Wprawne oko dostrzeże poręcz oraz liny asekuracyjne.

Słoneczny poranek po drugim, całkiem komfortowym biwaku. Niewątpliwie zalety wspinania wschodnią ścianą.

W lodowcowym labiryncie podczas kolejnego podejścia do BC3.

Pierwszy dzień w ścianie. Waldorf startuje w trzeci lodowy próżek, wyciąg 55m WI5.

Czwarty dzień w ścianie, wyciąg 28. Wyplaszczenie grani, szczyt wydaje się być na wyciągnięcie ręki, choć nic nie jest pewne.



Widok na Ogrę z drugiej doliny.
fot. M. Wernik



Autor na szczycie Dreamwalkera.
fot. arch. M. Wernik

Ballada o Ser Nixie

Marcin Wernik

Dawno, dawno temu żył sobie rycerz pod-
rzednego stanu zwany Ser Nixem. Pewnego
dnia przybył do niego posłaniec z wezwani-
em na wyprawę dziabową do odległej krainy
zwanej Tagasanią, trzech innych dzielnych rycerzy
planowało udać się tam z zamiarem pokonania

górującego nad nią Ogrę. Kraina leżąca pomiędzy
miejscowymi, wrogimi sobie plemionami, przez
lata była niemym świadkiem zbrojnych potyczek
i nasi śmiałkowie byli pierwszymi, którzy chcieli się
do niej udać w czasach pokoju. Ser Nix postanowił
do nich dołączyć.

Wiele dni wcześniej rozpoczęli planowanie, a że byli
tylko biednymi rycerzami, to nie mogli pojechać „w sta-
rym stylu”, bez zupełnego rozgłosu. Zatem przez herol-
dów ogłosili wszem i wobec, jakie mają plany licząc, że
jakiś bogaty szlachcic wesprze ich zamiar swoją hojną
sakiewką. Nie spotkało się to z przychylnym odzewem
wśród innych rycerzy. Ale nasi bohaterowie nie przejęli się
tym, bo liczył się dla nich cel. W końcu wyruszyli i po wielu
dniach dotarli do doliny, nad którą wznosił się Ogr. Miej-
scowe plemiona były bardzo przyjazne i za odpowiednią
opłatą, kilku ich przedstawicieli wspierało naszych śmiał-
ków, jak tylko mogło. Przygotowywali im posiłki z punktu-
alnością co do pór dnia, karmili, jak tylko potrafili, żeby
tylko nasi rycerze mieli siłę na zmierzenie się Ogrem.

**Ogr był straszny,
przerażający.**

dlatego też dzielni wojacy najpierw udali się na
spotkanie z jego giermkami. Giermek ten nie miał jesz-
cze imienia i za namową szlachty, która rzuciła mie-
dziaki na wyprawę, został ochrzczony Marzycielem.
Nasi śmiałkowie chcieli się najpierw sprawdzić i nabrać
pewności, że są przygotowani do zmierzenia się
z Ogrem, a Marzyciel wyglądał na łatwego przeciwni-
ka. I jakież było zdziwienie drużyny, kiedy dopiero dru-
giego dnia postawili stopę na jego głowie. Oj, ciężka to
była przeprawa, okupiona dużą ilością potu i straszli-
wym zimnem. Ale udało się i nasi śmiałkowie stwier-
dzili, że są gotowi na Ogrę.

Wyruszyli na jego spotkanie o świcie, pokonując
często zupełnie pogie, dziewięćdziesięciostopniowe lo-
dowe ramiona Ogrę. Przez prawie trzy dni mozolnie
walczyli i walczyli i kiedy im się wydawało, że cel jest
już blisko, przez gołębia pocztowego otrzymali wiadomo-
ść, że... *winter is coming*. Z bólem serca, nasi dzielni
wojacy musieli zawrócić, Ogr pozostał niepokonany.

Tymczasem w ojczyźnie ich zmagania odbiły się
szerokim echem. Heroldowie ogłaszali na rynkach
i targowiskach o straszliwych potyczkach naszych
dzielnych wojaków, a trubadurzy układali o nich pieś-
ni. Każdy chciał być lepszy od drugiego i plotka o do-
konaniach śmiałków rosła i rosła. W końcu sam Cesarz
ogłosił, że *Ogr został pokonany*. Nie była to prawda
i kiedy nasi bohaterowie powrócili ze swoich wojaży,
znów nie spotkali się z przychylnym odzewem wśród
innych rycerzy. Ale dzielni wojacy nie przejęli się tym,
bo liczyło się tylko to, co przeżyli.

A Ogr nadal czeka na swojego pogromcę.

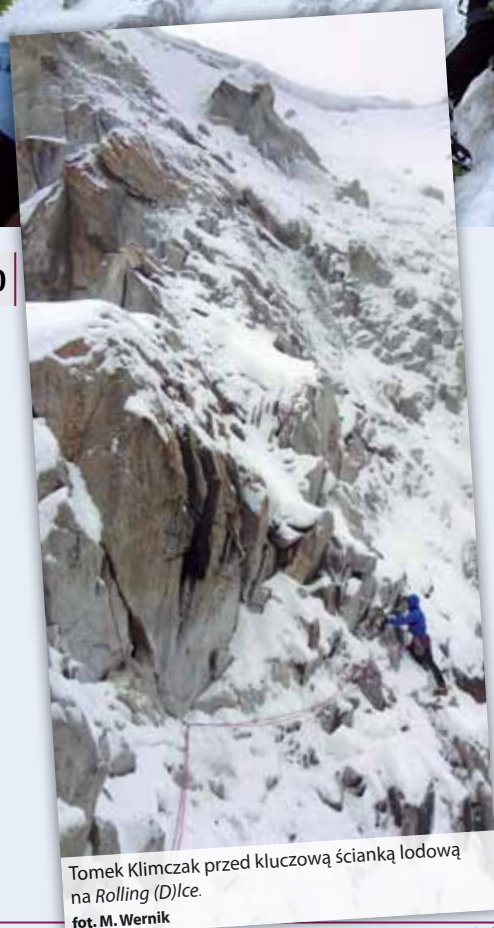


Maciek Bedrejszuk startuje w trudności Ogrę.
fot. M. Wernik

*A ode mnie na koniec wiedźcie więc,
że ja Was bawiłem tekstem tym
tylko dla zwykłej draki,
w ogóle prawdy nie ma w tym.
To zwykły kawał jest,
Darujcie, to już tej ballady kres ☺.
cyt. z: „Celina” Staszek Staszewski*

Melodijnym głosem relacjonował Ser Nix, wy-
śpiewując także podziękowania dla **Polskiego
Związku Alpinizmu, Fundacji Kukuczki** i szlachci-
ców, którzy dorzucili dukaty do wyprawy na portalu
PolakPotrafi. Drużyna została także wsparta przez
firmy **Yeti, HiMountain, Tendon** oraz **Rzeszowską
Kuznię Szpeju**.

Lodowa ścianka na Ogrze.
fot. M. Bedrejczuk



Tomek Klimczak przed kluczową ścianką lodową na Rolling (D)Ice.
fot. M. Wernik



Zespół **Marcin Wernik**, **Maciej Bedrejczuk** (KW W-wa), **Tomek Klimczak** (KW W-wa) i **Maciej Janczar** (KW W-wa) zdobył dziewiczy szczyt (Dreamwalker, 5809m) drogą *Rolling (D)Ice* (1450 m, ED1/2 A15, 80 st, M5), a także wspinał się kuluarem – *Polish Couloir* (ED2, A15, 90st, M7-, 1500 m) – osiągając dziewiczą przełęcz, podczas próby na niezdobytym sześciotysięczniku, roboczo nazwanym Ogrzem.

Nowe horyzonty

Bartosz Kurowski



Na headwallu *Salathe Wall*
fot. arch. B. Kurowski

Miniony rok był dla mnie wyjątkowy. Wyjątkowo mi nie zależało. Ani na cyfrze, ani na wyniku. I cyfra, i wynik przyszły.

Wszystko zaczęło się od wędrówki. Było to zimową niedzielą – jedną z tych, co opierają się bezwładnemu pędowi wskazówek zegara, snując się ospale ku swojemu końcowi. Szarzącym wieczorem przemierzałem żoliborskie uliczki w poszukiwaniu pewnej piwnicy. Rozdeptywałem płatki śniegu i szukałem, co mi w duszy gra. Piwnicę znalazłem na tyłach lokalu, który już sam był na tyłach, a w piwnicy znalazło mnie tango argentyńskie. Nie czułem wtedy tego, ale pozostawiło wbitą drzazgę.

Czas mijał szybko, odliczany przechwytnymi na kampusie. Wszystko wydawało się po staremu. Trening – regularna orka, *core* i te sprawy. Niewielką inkluzją w planie tygodnia stało się kilka godzin poświęconych na lekcje tańca.

Wiosna wybuchła zielenią pośród jurajskich ostańców. Tydzień w tydzień, pełni pasji i mięśni, ładowaliśmy tyłki do auta i dawaj w skały! Odczarowywaliśmy nawet pogodę, jadąc w najgorsze zlewy, bo jak czas pokazał – zawsze było dobrze. Co najciekawsze,

moim nowym wspinaczkowym kompanem stał się luz. Nie wiem skąd się przyszwędał, jednak za pan brat mi z nim. W kolejne drogi wstawałem się bez poczucia, że muszę to zrobić. Może to rozmycie zainteresowania pomiędzy wspinaniem i tango? Bawiłem się ruchem, czerpałem radość z doświadczania tego, co oferuje skała. To trochę takie pieprzenie i zawsze mnie bawiło, jak ktoś tak pisał, dopóki się tego nie doświadczy – trudno zrozumieć. W każdym razie zupełnie przestała mnie interesować sama cyfra. I wtedy zrobiłem VI.5.

Labak dał nam w kość. Pojechaliśmy butni i zbrojni w szpona, a dostaliśmy wciry, jak się patrzy. Po sześciu latach wspinania zaliczyłem pierwsze normalne loty w czasie absolutnej walki, podczas wspinania. To poniekąd zabawne, pytanie jednak – gdzie byłem do tej pory? Wspinaczkowe przedszkole. Mam teorię, że bez prawdziwego latania nie ma prawdziwego wspinania. W porównaniu z Jurą wspinanie w piachach to niezwykła przygoda. Od momentu wstawienia w drogę do zjazdu panuje pełne skupienie. Trochę jak w tangu, gdzie liczy się jedynie chwila obecna, muzyka i to co dzieje się między tobą i partnerką.

Czechy na pożegnanie włożyły nam do koszyka zawiątko z psychą. Po powrocie dotknęliśmy jeszcze jurajskiego wapienia, lecz dręczący głód przygody został obudzony. Wpadłem na pomysł *Kastratora* na Młynarczyku. Nie myślałem o tym w kategoriach: łatwe-trudne. Może trochę trudniejsze VI.4? Robię na Jurze. Od czynu do myśli, myśląc niewiele, zawitaliśmy z Mikim w Dolinie Białej Wody.

Pierwszy dzień, niezbyt obiecujący. Sześć trzy bardzo nam daje w kość, na wyciągu kluczowym nie jestem w stanie porobić ruchów. To też nowość, jeśli chodzi o góry, bo zawsze chodziłem na drogi w granicach OŚa. „Niezwykłej urody pierwotnym lasem” zesłaliśmy na tabor. Dużo milczeliśmy, to pozwoliło nam się lepiej porozumieć. Następnego dnia naparliśmy ponownie.

Miki bez mrugnienia poprowadził swój wyciąg. Mnie, bez tyknięcia brewką, drżały kolana. Wspinaczkowy luz umknął gdzieś na chwilę i głowę wypełniła wszechogarniająca lufa – było powietrze i lotnie. Nagle poczułem presję.

W pierwszej wstawce telepało mną, jak w febrze. Polecałem znad początkowych trudności prując powietrze. W oczach mikstura szaleństwa i przerażenia (dobra, może przesadzam, ale trzeba to podkolorować). Trzy wdechy, dwa wydechy, cztery pompki i za-

atakowałem po raz drugi. Na odlotach padły pierwsze trudności. Drugich niestety nie dopatentowałem, więc odloty były jeszcze większe, ale przeszedłem!

Próbowałem opanować się i odpocząć przed okapem, przyjmując ekwilibrystyczne pozy włącznie z haczeniem kolana. Nie miałem pojęcia, jak dobrze podejść do problemu, była tylko koncepcja, która dawała pewną nadzieję. Ruszyłem z determinacją, próbując oszukać w ten sposób grawitację, nim ta zorientuje się w sytuacji. Wytężając mięśnie i wolę do granic, wywindowałem się nad okap. Tutaj czekał mnie finalny moment rozkoszy. Wybitnie czujna płyta i pokusa ostateczna – możliwość zrobienia wpinki do jakiegoś frędzla dyndającego ze stanowiska, bez uczciwego stanięcia z kotwami twarzą w twarz. Choć często przegrywam walkę z tym draniem – strachem, tym razem tylko uśmiechnąłem się doń i zrobiłem ostatnie ruchy, po czym wpiąłem się. Długo wyłem z euforii. Po tym wyciągu byłem zmasakrowany. Miki przejął prowadzenie i nadał ton dalszej akcji. To się nazywa partnerstwo, gdy można na sobie polegać w takich sytuacjach.

**A potem zapadłem się
w tangowym objęciu.**



fot. Elżbieta Petryka

Zacząłem intensywnie ćwiczyć i chodzić na milongę, czyli imprezy tangowe. Perspektywa odwróciła się, teraz zamiast poświęcać weekendy wspinaniu, poświęcałem je tańcowi. Wtem! Nieoczekiwanie po sierpniu nastał wrzesień. Przypomniało mi się, że październik to przecież Yosemite. Wnioski, pezeta i te sprawy.

Wyrwałem się z tangowego cugu i z Mikim zrobiliśmy *knock-knock* do budki *rangera* na Camp 4. W Dolinie było wesoło, dużo bardzo pozytywnych ludzi (których stąd pozdrawiam). Od początku czułem, że ten wyjazd będzie inny od poprzedniego, właśnie ze względu na brak napinki i przymusu. Jechałem już trochę na oparach, bo nie za wiele trenowałem przed wyjazdem, ale płynność pozostała i to poniekąd odkupiło moje winy.

Stwierdziliśmy z Mikim zgodnie, że wykażemy się ambicją (czytaj lenistwem, bo nie chciało nam się holoować worów) i będziemy wspinąć się w stylu non-stop.

Za pierwszą drogę obraliśmy *West Face* na El Capie. Planem było przejście klasyczne, ale nie udało się go zrealizować (wraże siły i nieprzychylnie śniadanie).

Już start drogi był przygodowy, bo podeszliśmy w nocy i tuż-tuż widzieliśmy czołówki zespołu, który właśnie rozpoczynał wspinaczkę. Między nami a nimi ziała jednak czarna otchłań. Okazało się, że weszliśmy na grzędę obok ściany i trzeba było poczekać na wschód słońca. Były przygody w trakcie, z lotami na mikrocamach. Była i przygoda na końcu – na szczycie znaleźliśmy się bowiem w nocy i na wyczucie poszliśmy tam, gdzie powinno być zejście. Okazało się jednak, że było tam wszystko, poza ścieżką, a głównie niewyobrażalne chaszcze. Jak na złość czołówka zaczęła mi wysiadać. Korzystając z GPS w telefonie Mikięgo, po godzinie błędzenia udało nam się odnaleźć co trzeba i dostaliśmy się do zejścia. Potem po dwóch kolejnych godzinach na dół. Pamiętam to uczucie dziwnej satysfakcji, gdy przez czarną noc sześmi środkiem jezdni półprzytomni z wycieńczenia.

Następnie był *Lurking Fear*, propozycja bardziej hakowa. Aby być szczerym, jednogłośnie uznaliśmy tę drogę za nudną. Regularne przepinanie się z przelotu do przelotu, czasem (jeszcze nudniejsze) drabiny boltów. Największą atrakcją był zespół, który musieliśmy wyminąć w środku nocy. Ich dwa portaledge zajmowały całą szerokość ściany. Zabawna była mina zaspanego Hiszpana, gdy Miki haczył tuż nad jego głowę. Na szczycie przywitał nas świt, dwadzieścia kilka godzin akcji poszło w pięty, choć nie byliśmy tak zmęczeni, jak po pierwszej drodze.

Teraz poczuliśmy oddech *Salathe Wall* na naszych plecach. *Point of no return?* Trzeba się w końcu wstawić, choć jak wspominałem wcześniej zupełnie nie czuli-

śmy presji, czyli: koniecznie musimy to zrobić. Była to po prostu oczywistość, aby pójść na tę drogę, być w ścianie, spróbować.

**Nurtowała nas jedna
myśl, wziąć dwie liny
czy jedną?
Dwie bezpieczniej,
jedna szybciej.**

Aby znaleźć odpowiedź na to pytanie, poszedłem w nocy podczas pełni na ukrytą polanę, aby spotkać tam Leśną Panią. A ona rzekła – odwagi. I uśmiechnęła się księżycowo. Może mi się to śniło? Wtedy jednak wiedziałem już, co zrobić.

Czekaliśmy na sądny dzień cały tydzień. Początkowo ze względu na deszcz, potem ze względu na całe stado Norwegów, którzy z upodobaniem, jedni nad drugimi, zaludniali początek drogi.

Jednak i na nas przyszedł czas. Ruszyliśmy, brocząc co rusz krwią (Miki) i łzami (ja) na wypalony granit. Z czystą przyjemnością minęliśmy na *Heart Ledges* zespoły holujące właśnie piątą świnie. W zestawieniu z czymś takim człowiek czuje się dwa razy lżejszy. Próbowałem



Autoportret z wypaloną czaszką
fot. B. Kurowski



W nogi!
fot. B. Kurowski

grać zawadiacką miną, ale wiedziałem, że *Hollow Flake* (taka nieasekurowalna przerysa) przed nami i że to ja wygrałem zakład o jej prowadzenie. To kolejne doświadczenie, które naprawdę trudno opisać słowami. Doświadczenia warto kolekcjonować. Czy cała Dolina przed oczami i 20 metrów bez przelotu z opcją na wahadło cokolwiek oddaje? Moim zdaniem nie. Nad *Hollow Flakiem* dogoniliśmy Boba i Judy. Bob wyszczerzył do nas zęby i poprosił, żebyśmy zwinęli jego statykę, którego ma rozpiętego nieco wyżej jako poręczówkę, to nam postawi dużo piwka. I zjechali. My tymczasem przegraliśmy końcówkę klasycznej części drogi, gdzie

Miki oddał kawał zdrowia na nominalnie banalnym wyciągu *The Ear*, w formacji *squeeze chimney* (bardzo wredny komin) i z zapadającym mrokiem wkroczyliśmy w świat hakówek.

Dotarliśmy do alkowy i Miki poszedł do góry, aby stwierdzić, że dalej się nie da. Jak to nie da się? – krzyknąłem. No nie da, odparł i dodał, że bym sam przyszedł i zobaczył, a on zakłada stan tam, gdzie jest. Faktycznie, nie dało się. Kolejne stada Norwegów nie dość, że zajęły całą powierzchnię El Cap Tower, to jeszcze kilku kolejnych Norwegów zwiesiło się w portaledgach ze startowej ryski kolejnego wyciągu.



Na szczycie
fot. arch. B. Kurowski



W dachu. Wspina się Miki.
fot. B. Kurowski

Nie myśląc długo wykorzystaliśmy poręczówkę Boba i wypaliliśmy do góry jeden wyciąg. Skoro i tak mieliśmy tę linę zwinąć, to czemu nie skorzystać w takiej sytuacji? Zwinęliśmy trzy wyciągi, potem nie starczyło nam weny i siły. Taka lina jest diabło ciężka. Zresztą Bob potem i tak nie przyniósł piwka.

Haczenie nocą dłużyło się. Przy asekuracji przysypiałem, Miki przyznał się, że zasnął zupełnie. Na szczęście wzięliśmy gri-gri, akurat na takie sytuacje. Dotarliśmy w końcu, już kolejnego dnia, do legendarnego *Headwalla*, z jeszcze bardziej legendarną przewieszoną rysą. To tutaj Steph Davis została przepięknie uwieczniona z rozwianymi włosami. Dwie długości liny wyżej napotykały największą, moim zdaniem, przygodę na drodze. Wyciąg wyceniony na C1 5.8, czyli łatwo. Po godzinie zastanawiania się poprosiłem, żeby Miki podesłał mi na linie buty wspinaczkowe, bo na taką hakówkę nie miałem arsenału. W butach też nie puściło, dopadła mnie chwila zwątpienia, bo myślałem, że po prostu tego nie zrobię. Dopiero po trawersie, z sekwencją „3 x camhook” w rachitycznych ryskach, ładnych kilka metrów nad najmniejszym camem, udało mi się wejść w klasyczne ruchy. Niebanalne.

Drogę skończyliśmy po 36 godzinach akcji, zostaliśmy na szczycie trzy litry wody. To razem 39 lub 33, zależy jak liczyć.

Salathe to było coś dużego.

Gdy wróciliśmy z Doliny do stolicy, przepadłem dla tanga zupełnie. Nie wspinalem się ponad 2 miesiące. Dopiero niedawno byłem na ścianie i czułem się, jak za pierwszych dni.

**Widzę teraz,
że poza samą
aktywnością ważniejsi
są dla mnie ludzie,
z którymi przebywam.**

To był mój najlepszy sezon. Teraz nie wspinam się. Może czasem warto odpuścić, żeby zaczęło wychodzić? Nabrać nowej perspektywy?



Kominy na Direct North Buttress, Middle Cathedral.
Po 20 minutach od stanowiska.
fot. B. Kurowski

Zawody skialpinistyczne w Polsce

Małgorzata Czeczott

Zawody Bokami Zapadnych Tatier
fot. Monika Strojny

Skialpinizm, często nazywany narciarstwem wysokogórskim (ostatnio także Skimo), jest najprostszym i najbezpieczniejszym sposobem poruszania się zimą po górach. Na świecie znany od dziesiątek lat, w Polsce właśnie rozkwita. Z roku na rok coraz więcej osób uprawia tę dyscyplinę, a tym samym coraz większa ilość zawodników pojawia się na startach wielu organizowanych w naszym kraju zawodów.

Zawody w narciarstwie wysokogórskim polegają na jak najszybszym pokonaniu wyznaczonej trasy na nartach. Na trasę składają się podejścia (z reguły trzy lub cztery) i zjazdy w trudnym terenie wysokogórskim, zazwyczaj poza wyznaczonymi i przygotowanymi dla narciarzy trasami.

Start jest wspólny i zawodnicy rywalizują ze sobą bezpośrednio, zarówno podczas podejść, jak i zjazdów

nierzadko stromymi żlebami. Niestety w Polsce na trasie zawodów nie ma zbyt wielu kibiców, chyba że odbywają się w okolicy Kasprowego Wierchu. We Francji czy we Włoszech jest zupełnie inna sytuacja: tam na trasie ustawiają się tłumy, które zagrzewają zawodników do walki.

Sprzęt

Uprawianie skialpinizmu wiąże się z wykorzystaniem odpowiedniego sprzętu:

- butów i wiązań skiturowych umożliwiających zjazdy oraz podchodzenie;
- nart – bardzo podobnych do nart zjazdowych, lecz znacznie od nich lżejszych;
- fok – czyli podklejanych pod ślizgi nart pasów umożliwiających podchodzenie.

Są różne rodzaje nart i wiązań oraz butów. Każdy powinien dobrać sobie ten sprzęt w zależności od umiejętności oraz terenu, w jakim będzie on używany. Narty do startów w zawodach są najlżejsze i zarazem najbardziej delikatne. Nie dają zbyt wiele komfortu w zjeździe, ale za to najmniej ciąży przy podbiegu.

Czasami do podchodzenia niezbędne jest używanie raków i czekana, w trudnym terenie konieczna jest asekuracja przy pomocy liny. Podczas wspinania narty transportuje się przytroczone do specjalnie przystosowanego do tego plecaka. Wszystkie elementy techniczne wykorzystywane są podczas zawodów, dlatego tak jak przyklejenie i zdejmowanie fok, przed startem warto nauczyć się płynnie wykonywać wszystkie techniczne elementy, żeby potem nie tracić czasu na zawodach (na przykład na dopasowanie raków).

Umiejętności

Oprócz posiadania niezbędnego, specjalistycznego, sprzętu zawodnik musi posiadać odpowiednią wiedzę i obycie w terenie wysokogórskim. Musi wykazywać się przede wszystkim umiejętnością zjazdu w trudnym, niebezpiecznym terenie, a także posiadać odporność psychiczną na zmęczenie i zimno.

Ja swoją „przygodę z fokami” zaczęłam w 1992 roku, kiedy pracowałam wiosną w schronisku w Cho-

chołowskiej. Nie miałam wprawdzie swoich nart, ale zawsze udawało się od kogoś pożyczyć. W 2002 roku uczestniczyłam w początkowych zajęciach kursu dla instruktorów narciarstwa wysokogórskiego, ale go nie skończyłam, bo zaczęłam pracę i nie dawałam rady z urlopem. Startowałam też w zawodach z różnym rezultatem: w 2003 roku wygrałam Memoriał Oppenheima, a w 2007 wlokłam się za wszystkimi w Pucharze Połonin.

W 2010 roku zaczęłam powoli, po długiej przerwie macierzyńskiej, wracać do uprawiania sportu „trochę bardziej”. Bez jakichś znaczących sukcesów, ale już sam fakt brania udziału w różnych zawodach tak mnie cieszył, że wyniki naprawdę były mało ważne.

Początkowe treningi na nartach robiłam na Kasprowym Wierchu (od sklepu do dzwonka). Trwało ponad dwie godziny i strasznie mnie masakrowało. W kotle goryczkowym musiałam się co parę kroków zatrzymywać, żeby złapać oddech. To była połowa grudnia, a pierwsze zawody miały się odbyć na początku stycznia.

W polskim kalendarzu zawodów są pewne niezmienne punkty: zawody, które odbywają się co roku. Chciałabym po krótko je opisać, żeby osoby które planują starty wiedziały mniej więcej, co je czeka.

fot. Monika Strojny



1. Puchar Kuby Soińskiego (Puchar Czantorii) – organizowany przez KS Kandahar, zawsze na początku stycznia. Zazwyczaj są to cztery lub pięć podbiegów wzdłuż wyciągu krzesłowego i zjazd niebieską trasą. Zawody zaczynają się po zamknięciu stoku dla narciarzy – po ciemku. Główną atrakcją są więc zjazdy w świetle czołówek.

2. Memoriał Edwarda Hudziaka – zawody organizowane na Babiej Górze, jedyna możliwość legalnego jeżdżenia na nartach w tej okolicy. Zawody organizowane są niestety tylko wtedy, gdy jest wystarczająca ilość śniegu, o co ostatnio trudno. Są tam trudne, bardzo szybkie zjazdy wzdłuż pasma granicznego i długie, płaskie odcinki po szlaku, gdzie przydają się bardzo szybkie foki.

3. Puchar Połonin – organizowany przez KW Rzeszów, bardzo ciekawe zawody, dla wielu osób jedyny pretekst, żeby pojechać zimą w Bieszczady. Zawody organizowane są poza terenem Bieszczadzkiego Parku Narodowego, czyli klasyczna jazda po krzakach i stokówkach. Jak ktoś ma tyle fantazji, żeby oderwać wzrok od tyłów nart osoby biegnącej przed nim – przy dobrej pogodzie może zobaczyć Tatry. Na zakończenie odbywa się zawsze huczna zabawa.

4. Puchar Pilska – to również zawody Kandaharu. Długie bieganie po całym Pilsku (w parach) i wspinałe zjazdy w lesie. Jeśli jest śnieg, to są to naprawdę piękne zawody zarówno widokowo, jak i sportowo. Start w parach dodaje im również uroku, gdyż oprócz pokonywania własnych słabości trzeba pamiętać o partnerze – można się hłować.

5. Memoriał Strzeleckiego – zawody organizowane wspólnie przez KW Warszawa i KW Kraków. Jedynie, w których nie ma klasycznej formuły liczenia czasu start – meta. Jest zawsze jeden podbieg na czas i jeden zjazd na czas oraz obowiązkowa wycieczka – z zaliczeniem jakiegoś punktu kontrolnego. Umożliwia to spędzenie całego dnia w górach z elementami ścigania. W tych zawodach też startuje się w parach. Zawody organizowane są w różnych miejscach w Tatrach.

6. Memoriał Oppenheima – zawody organizowane przez SN PTT i KW Zakopane w Tatrach Zachodnich. Przy dobrej pogodzie zwiedzamy Grzesia, Rakoń, Wołowiec, Trzydniowski Wierch i okoliczne doliny. Wspaniała okazja, żeby zwiedzić całe polskie Tatry Zachodnie jednego dnia.

7. Zawody KW Zakopane – klasycznie trasa wiedzie od Wodogrzmotów Mickiewicza przez Kozią Przełęcz do Doliny Gąsienicowej i dalej przez Kasprowy do Kuźnic. W 2015 r. po wprowadzeniu przez TPN opłat za organizowanie zawodów na terenie Parku Narodowego, zrezygnowano z ich przeprowadzenia. W kalendarzu na 2016 r. także zostały odwołane. To dość długa wycieczka, ale naprawdę ciekawa i nawet gdy zawody się nie odbędą, można przejść tę trasę dla własnej przyjemności.

8. Polar Sport Skitour im. Basi German – zawody organizowane przez Polar Sport w okolicach Masarnego Gronia. Tu też jest dużo jazdy po krzakach, ale główną atrakcją jest podbieg do mety wzdłuż trasy zjazdowej. Naprawdę przydaje się duża objętość płuc i mocny bicek. Na zakończenie każdy dostaje nagrodę. Jest losowanie, ale nagród mają tyle, że nikt nie odejdzie z gołymi rękoma.

9. Memoriał Malinowskiego – to zawody w których każdy miłośnik skimo powinien wystartować. Organizowane są przez TKN Tatra Team i TOPR w Dolinie Gąsienicowej. Start jest z Murowańca, potem jest długi podbieg na Liliowe, zjazd ze Świnickiej w stronę Suchej Stawiańskiej, podbieg na Karb, zjazd do Czarne Stawu, Potem Zawrat (limit czasowy przy Zmarzłym Stawie), powrót przez Kozią i meta w Murowańcu. Wszystko w wiosennym słońcu – bajka. Jak jest ciepła wiosna to woda ze stawu wlewa się do butów.

Warto też wspomnieć, że Słowacy też organizują bardzo przyjemne zawody u siebie. Najmilej wspominam Bokami Zapadnych Tatier – trzydniowe zawody w Słowackich Tatrach Zachodnich. Każdego dnia pokonuje się 2 – 2,5 tys. metrów przewyższenia na dystansie około 20 km. Naprawdę niezapomniane przeżycie. Liczy się łączny czas z trzech dni. Trzeba sobie zaplanować wysiłek i nie „zagrzać się” pierwszego dnia.

Uczestnictwo w zawodach pozwala na poznanie bardzo ciekawych regionów narciarskich, nie koniecznie z podziwianiem widoków, ale zawsze można tam pojechać jeszcze raz, zabrać rodzinę lub znajomych i obejrzeć „okoliczności przyrody”, których nie zwiedziło się podczas zawodów.

Puchar Pilska
fot. Monika Strojny

Memoriał Strzeleckiego
fot. Monika Strojny

Memoriał Malinowskiego
fot. Monika Strojny



Wyjazd skiturowo-lawinowy UKA Tatry (27-29.03.2015)

Tekst i zdjęcia: Jarek Kamer

W koźcówce marca 2015 udało się zorganizować trzydniowy klubowy wyjazd skiturowy w Tatry. Przy okazji spotkania towarzyskiego, założeniem wyjazdu było też przeszkolenie z zagadnień lawinowych oraz okółskiturowych. W tym celu umówiliśmy się z Justyną Żyszkowską i jej kolegami z TOPRu (Mariuszem „Gienkiem” Rogusem i Grześkiem Wierciochem). W szkoleniu wzięło udział 10 osób. Oczywiście, im bliżej było terminu wyjazdu, tym prognozy pogody rysowały coraz ciemniejsze scenariusze. W rezultacie nie trafiliśmy idealnie z pogodą – ale też nikt specjalnie na to nie narzekał.

Piątek, który był trochę deszczowy, spędziliśmy na polu do ćwiczeń lawinowych na Kalatówkach. Pod okiem instruktorów poznawaliśmy teorię i praktykę skiturowania, taktykę poruszania się w terenie, obsługiwaliśmy detektory, poszukiwaliśmy i odkopywaliśmy poszkodowanych w lawinie.

Kolejnego dnia, wraz z Justyną i Grześkiem, wyruszyliśmy na turę do Doliny Staroleśnej na Słowacji. Co prawda deszcz odpuścił tego dnia, ale warunki terenowe i pogoda dalej nas nie rozpieszczęły:

**duże zachmurzenie,
słaba widoczność
i silny wiatr
(do ok. 70 km/h)**

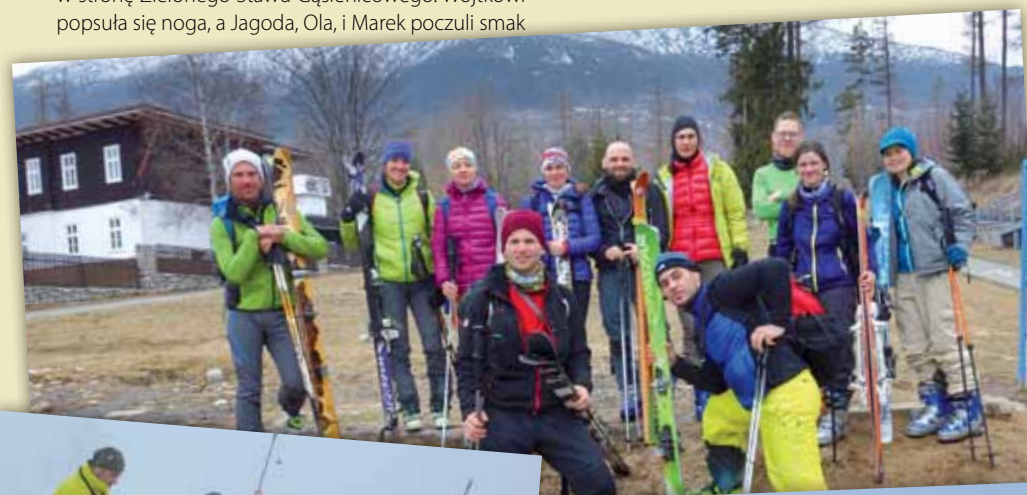
pozwoili osiągnąć Zbójnicką Chatę. W środku spotkałiśmy bardzo sympatycznych i serdecznych Słowaków, którzy ani przez chwilę nie dali odczuć, że jesteśmy tu „przybyszami z innego kraju”. Integracja postępowała w szybkim tempie. Już prawie zaczynały się tańce

z przytupem, ale czekał nas jeszcze powrót. Odwrót w dół doliny okazał się zjazdem po zalodzonych stokach. Byliśmy jednak bardzo zadowoleni, że udało się poćwiczyć podejście i zjazd w tak niesprzyjających okolicznościach.

Niedziela, chyba w nagrodę, przywitała nas za to lampeczką i tym razem samodzielnie, bez instruktorów, wybraliśmy się na turę po polskiej stronie. Beata, Karol i Miro pokusili się o zjazdy z Przełęczy Świnickiej do Świnickiej Kotlinki, potem kontynuowali trasę na Karb i w dół nad Czarny Staw Gąsienicowy. Z kolei Aga, Asia i Jarek doszli na Karb i cieszyli się zjazdem w stronę Zielonego Stawu Gąsienicowego. Wojtkowi popsuła się noga, a Jagoda, Ola, i Marek poczulili smak

gorączki sobotniej nocy w Zakopanem. Słoneczko dopieściło i opaleniu, bez nabitych guzów wróciliśmy do domu, ciesząc się ze wspólnie spędzonych kilku dni na deskach poza trasą. Każdy wybiegał pewnie myślą w przód, że tak naprawdę sezon skiturowy w zasadzie dopiero się zaczyna i że niejedna wypyła przed nim.

Pisząc ten krótki tekst do Biuletynu, jesteśmy w trakcie przygotowań kolejnego klubowego wyjazdu turowego. Tym razem planujemy się integrować w Dolinie Chocholowskiej. Jak będzie czas pokaże, ale o tym napiszę już za rok. Jedno jest pewne, jeśli tylko warun dopisze, to na pewno będzie fajnie ☺!



91



Bieganie AD 2015

próba podsumowania



Mateusz Mioduszeński

Marcin Wernik (w zielonym) podczas BUGT
fot. Piotr Dymus

92

Biegacz długodystansowy bez widocznej potrzeby ponosi straszne trudy. Dlaczego to robi? Odpowiedzieć na to pytanie, znaczy tyle, co znaleźć sens czynności, której na imię biegi ultra. Nie będziemy się jednak nad tym zastanawiać. Każdy, kto czytał artykuł Romana Kordysa „Taternictwo wczoraj dziś i jutro” doskonale pamięta, że „trudzić się i walczyć z oporem jest potrzebą człowieka, jak dla kreta grzebanie – przezwyciężanie przeszkód jest rozkoszą istnienia: – walka z nimi i zwycięstwo uszczęśliwia”. Bieganie podobnie jak wspinanie „należy do rodziny tych bezcelowych i bezinteresownych, w najgłębszych i najszlachetniejszych pokładach duszy męskiej (i żeńskiej chyba też?) źródło mających, krańcowych wysiłków człowieka”. Spróbujmy więc spojrzeć przez pryzmat tych przeszkód i zwycięstw na zeszłoroczne biegiowe poczynania niektórych członków UKA.

Gosia Gogo Czeczott wraz **Agnieszką Tyszką Tyszkiewicz** z bardzo ładnym czasem ukończyły **Bieg Rzeźnika**. Gogo tak wspomina ten start: „Ukończyłyśmy bieg na czwartym miejscu z czasem 12h 5min, wcześniej był plan, by skończyć wersję *hardcore* (dodatkowe

Aga Tyszkiewicz na trasie Niepokornego Mnicha
fot. Piotr Dymus

dwadzieścia kilka kilometrów wydłużających bieg z około 78 do około 100km), ale zrezygnowałyśmy, było strasznie gorąco i nie miałyśmy w ogóle czasu na odpoczynek. Sędzia na mecie powiedział, że możemy ruszyć pod warunkiem, że pójdziemy od razu, spojrzaliśmy na bezchmurne niebo, otwarte dla nas zimne, rzeźnicke piwo i wegański bufet. Nie poszłyśmy, może następnym razem (śmiech)”. Gosia wystartowała jeszcze w **Maratonie Gorce**. Tak nam o tym napisała: „Na tej trasie jest czas by podziwiać okoliczności przyrody i pogadać z innymi biegaczami. Jeden taki rozmowny dogonił mnie w okolicach Turbacza. Wypiliśmy razem po kubku wody i ruszyliśmy razem do mety. Stamtąd do mety jest już z górki, początkowo łatwą stokówką, a potem stromą, kamienistą drogą. Jak się skończyło łatwe, kolega się grzecznie pożegnał i pognał w dół stwierdzając, że chce skończyć poniżej pięciu godzin. Popatrzyłam jak odbiega i po chwili pomyślałam, że właściwie ja też chciałam skończyć poniżej pięciu. Puściłam się wtedy pędem, zaczęłam wyprzedzać biegacza, co oczywiście wzmacnia psyche. Dotarłam do mety z czasem 4:59:35 (śmiech)”.

Trzy ciekawe biegi górskie zaliczyła w zeszłym roku **Asia Kamer**. Były to **Supermaraton Gór Stołowych** (dalej SMGS), **Bieg Ultra Granią Tatr** (dalej BUGT) i **Bieg 7 Dolin – trasa 64 km** (dalej B7D). Oto, co Asia powiedziała o starcie w Hejzszowinie: „Bieg ten słynie z wielkich upałów i w tym roku inaczej być nie mogło – temperatury były ponoć rekordowe. Dodatkowym utrudnieniem było przesunięcie startu z godz. 9 na 11, więc pot lał się od startu do mety”. A to o biegu w Tatrach: „Trasa była trudna ze względu na techniczne i wymagające zbiegi, jednak fantastyczni kibice pomagali i dopingowali. Chcąc tam wystartować powiem, że warto przed startem zrobić kilka treningów po trasie biegu, gdyż limity są dość wyśrubowane, głównie na drugim odcinku od schroniska na Ornaku do Murowańca. Sporo osób (bo około jedna trzecia) odpadło właśnie tam. Dobiegnięcie do mety przysporzyło mi naprawdę dużo satysfakcji. Wbiegłam tam około 1,5h przed limitem. Z czasem 15h 36min, jako 11 kobieta”. Największe zwycięstwo Asia odniosła podczas B7D. Tak wspomina walkę: „Forma po wcześniejszych startach utrzymała się i bieg ten był dla mnie czystą przyjemnością. Tutaj czułam się jak u siebie w domu – Beskid Sądecki jest rodzinnym domem mojego taty. W miłym towarzystwie Michała Kasprowicza pokonywałam kilometry i w pewnym momencie zorientowałam się, że jestem czwartą kobietą w stawce. Stopniowo przyspieszałam i udało się na około 10km przed metą dogonić trzecią dziewczynę. Nie zapomnę zbiegu do Krynicy. Okazał się rywalizacja

Asia Kamer zdobywa Krzyżne
fot. Maciek Ners

do samego końca. Los się do mnie uśmiechnął i wpadłam na metę jako trzecia z przewagą 6 sekund, z czasem 8h 31min (śmiech)”.

Tyska oprócz Rzeźnika (z Gogo), ładnie rozprawiła się z **Chudym Wawrzyńcem – trasa 55km** i z **Łemkowską Ultra Trail – trasa 150km** (dalej ŁUT). Tak wspomina start z 2014 roku: „Dystans 150-kilometrowy przerósł wtedy moje możliwości. Zakończyłam go w Chyrowej, czyli na ok. 80. kilometrze trasy. Powodów było wiele, ale ten główny to brak doświadczenia w biegu na tak długim dystansie i topniejąca z każdym kilometrem motywacja. Oczywiście było też zimno, miałam mokre buty, opuchnięte stopy, byłam niewyspana, ogólnie zmęczona, głodna i jeszcze milion innych przyczyn mogłabym wymienić. Czyli jak we wspinaniu, na każdy wycof można znaleźć wymówkę. Prawda jest jednak taka, że po prostu wymiękłam. Przez kilka ostatnich kilometrów przed Chyrową miałam duży kryzys. Siedząc na przepaku w ciepłej sali nad ciepłą zupą, wśród sporej grupy ciepło na siebie spoglądających osób, biłam się jeszcze w myślach, że może jednak pocisnę i jakimś cudem dotoczę się do mety, ale z drugiej strony, takie toczenie się przez kolejne 70 kilometrów zupełnie mi nie odpowiadało. W pewnym momencie wszedł Marcin i oznajmił, że zrezygnował na poprzednim punkcie. Te sączące się jeszcze gdzieś w głowie iskiereki znikły w jednej chwili. Wycof”. A tak udaną zeszłoroczną próbę: „Byłam zdecydowanie słabiej przygotowana niż rok wcześniej. Treningi biegowe zaczęłam dwa miesiące przed startem. Poza tym motywacja była bardzo duża. Siła tkwi tak naprawdę w głowie.

93

Byłam pewna, że docisnę do mety choćbym miała się tam doczołgać. Warunki na trasie były nieporównywalnie lepsze niż rok wcześniej, w nocy było cieplej, potoki można było przeskoczyć bez moczenia się do połowy uda, a w dzień świeciło słońce. Oczywiście, jak to w Beskidzie Niskim błotka trochę było, ale bez porównania mniej niż rok wcześniej. Było pięknie. Kolorowa beskidzka jesień. Biegłam wolnym, rytmicznym tempem. Miałam mały plecaczek i litrowy bukłak, więc na punktach spędzałam sporo czasu na jedzeniu i picu, ale nie musiałam też za dużo ze sobą targać, więc komfort biegu i tempo było lepsze. To była dobra strategia. Po drodze dołączałam do napotkanej ekipy. Znajomość zaczęła się od tego, że jeden z członków wspomnianej ekipy – Sebastian – poczęstował mnie colą i uraczył absolutnie pozytywną energią. Cisnęliśmy tak całą ekipą przez kolejne kilometry. Minęła noc, a kryzysu nie było, minął dzień, a ja wciąż parłam swoim wolnym tempem do przodu. Zaczęła się druga noc, chłodniejsza niż poprzednia, a ja ciągle parłam. Dopiero od około 125. kilometra zaczęły się problemy. Najpierw czułam nieprzyjemny ból w górnej części łydki, później zaczęły puchnąć. Jeden z napotkanych zawodników na ostatnim punkcie

trasy powiedział, że to pewnie od butów bez amortyzacji, w których biegłam całą trasę. Najprawdopodobniej miał rację. Nigdy nie przebiegłam w nich tak długiego dystansu. Na Rzeźniku czy Chudym trasa była znacznie krótsza i biegło się wspaniale. Tu jednak łydki w końcu wysiadły. Pożegnałam moich towarzyszy, żeby ich nie spowalniać i dalej cisnęłam sama przez ciemny las. Ostatnie dziesięć kilometrów szłam. Wzrok zawodził albo czołówka słabła. Sama nie wiem, co przestało działać. Generalnie przez słabą widoczność coraz częściej grzęzłam w glinie i błocie. Ostatnie trzy kilometry po szosie znowu zaczęłam biec. Wiedziałam, że to jest koniec i nowe siły porwały mnie do przodu. Metę przekroczyłam po 29h 16min. Będzie trzeba poprawić ten czas”.

Męska część UKA też co nieco podziałała.

Nie zaliczyli co prawda takich sukcesów jak Panie (III miejsce Asi w prestiżowym B7D!), ale jak się przekonacie, potrudzili się i powalczyli z oporem materii całkiem fajnie.



GO SPORT
ŻYJMY SPORTEM

ZAREJESTRUJ SIĘ
W DOWOLNYM SKLEPIE
GO SPORT

FeelGood! **GO SPORT**
www.go-sport.pl

KARTA FEELGOOD! + LEGITYMACJA UKA 10%* RABATU

*Rabat obowiązuje na całą ofertę, oprócz rowerów, artykułów przecenionych oraz objętych promocjami czasowymi. Nie łączy się z bonami lojalnościowymi. Szczegóły na uka.pl.

Jarek Kamer wystartował w **B7D – trasa 33 km** i w **ŁUT – trasa 48 km**. Jaro jak zwykle z dużym dystansem podchodzi do biegowej rzeczywistości. „Z pełną ufnością we własne siły zaplanowałam w roku 2015 udział w kilku biegach na dłuższym dystansie. Zanim jednak zdążyłam wystartować, już czułam się wygranym (śmiech). Zapisy na niektóre imprezy przypominały wirtualną bitwę. Byłam przekonany o tym, że na SMGS nie mam szans z moim archaicznym łączem internetowym. W godzinie otwarcia zapisów, kilkakrotnie traciłam łączę z serwerem. A jednak cuda się zdarzają. Jak mogłam nie popaść w stan euforii, gdy ostatecznie otrzymałam na skrzynkę mailową potwierdzenie rezerwacji pakietu startowego. Oczywiście widziałem też już wtedy siebie na Szczelińcu na mecie z medalem na szyi... Życie szybko jednak zweryfikowało moje plany. Jeszcze na feriach zimowych treningi wyglądały dosyć poprawnie. Ale niestety, ostatnie długie wybieganie po wierzchołkach górskich nad Łomnicą Zdrój w Beskidzie Sądeckim wraz ze skipowym abecedem i wieloskokami spowodowały problemy zdrowotne z kręgosłupem, po których organizm długo nie mógł wrócić do stanu równowagi. Czas mijał, a ja zrezygnowany pozbywałam się pakietu na Orleń Maraton oraz niedługo później na SMGS. Dopiero wyjazd w Tatry pozwolił na biegowy rozruch. Kilka razy odwiedziłem dolinę Pańszczyca meldując się również na Krzyżnem. Pojawiło się światło w tunelu i myśl, że może teraz wykonam jakieś regularne przygotowanie biegu w Krynicy Górskiej. Nie udało się. Na takim podkładzie treningowym i mentalnym jednak zdecydowałam nie rezygnować z wyjazdu we wrześniu na Festiwal Biegów Górskich, obniżyłam tylko poprzeczkę z dystansu 64 do 34 km. Początek, jak zawsze, choć pod górę, poszedł z górką (śmiech). Dość sprawnie zbiegłam do Łomnicy Zdrój, by po kilkudziesięciu minutach pojawić się na przeciwległych wzgórzach. Jednak już na zbiegu do doliny Wierchomli zauważyłam pewne problemy i zorientowałam się, że mogę w tym biegu tylko nadrobić na płaskim lub pod górę, co wykluzyło mnie automatycznie z walki o pułdło (śmiech). Na ostatnim kilkukilometrowym zbiegu do Krynicy kolana odmówiły współpracy i musiałam przejść do marszu. Cudowny doping setek kibiców zgromadzonych w okolicy deptaka zmobilizował mnie jeszcze do poderwania skrzydeł na ostatnich trzystu metrach trasy. A potem świętowałam świetny występ Asi (śmiech). Na Łemkowynie nie oczekiwałam od siebie zbyt wiele. Unikatowe plenery Beskidu Niskiego w pełni zrekomensowały słaby wynik czasowy. Pojechałam tam będąc pod wpływem relacji osób startujących w I edycji. Impreza fajna, choć pozostał minimalny niedosyt. Być może ten wyższy stopień wtajemniczenia zarezerwowany jest tylko dla tych, którzy zdecydują się

na przekroczenie bariery dnia i nocy w trasie, kiedy wschód słońca miesza się z zachodem, krzaki dzikiego jałowca przypominają czającą się na biegacza zwierzęcą, a spod biegnika rozpędzonych butów odjeżdżają traktory. Być może trzeba po biegu zostać przy ognisku dzień dłużej, napić się z ludźmi i cieszyć z udanego biegu, a nie odpływać do ciepłej cywilizacji. Ale o tym niech piszą już prawdziwi długodystansowcy. Mam po co wracać”.

Michał Kasprowicz zaliczył w zeszłym roku **Triathlon Bydgoszcz-Borówno (dystans IM)** i **B7D – trasa 64km**. Tak Michał podsumował swój górsko-biegowy debiut: „Trzeba dużo i dobrze trenować, a w kwestii odżywiania muszę się jeszcze sporo nauczyć”.

Piotr Kobierski pokonał chyba najwięcej górskich kilometrów ze wszystkich. Wystartował w **Rzeźniku Ultra – 140 km, K-B-L – 110 km, BUGT, B7D – trasa 100 km i ŁUT – trasa 150 km**. Co cieszy, Piotrką z pogoni za asfaltową szybkością zawrócił **Bieg ŻUKA**. Oto jego słowa: „Przełomem był mój pierwszy bieg na orientację organizowany przez UKA w Parku Łazienkowskim – na nowo odkryłem jak przyjemne może być bieganie. Postanowiłem wtedy już nie biegać „asfaltu” i skupić się na zebraniu doświadczenia pod wymarzony UTMB 2016. W maju wystartowałam w Ultra Rzeźniku – przebiegłam godne 105 km – tu odkryłem, że „cola” powinna być w niezbędniku każdego biegacza ultra: nawadnia, daje cukier, kofeinę i wyżera wszystko, co niepotrzebne w trzewiach. Na lipcowym K-B-L pierwszy raz poczułem, co oznacza zasnąć podczas biegu – okazuje się, że opowiastki o Armii Czerwonej maszerującej nawet we śnie, mogą być prawdziwe. Sierpniowy BUGT nauczył mnie pokory. 70 km po Tatrach wycisnęło ze mnie dużo więcej niż wcześniejsze „setki”. Kto tak krzywo poustawiał te kamienie na szlakach?! We wrześniu wziąłem udział w B7D – mówili, że to szybka setka; mówili, że będzie łatwo. Cóż, ukończyłem, ale znacznie poniżej oczekiwań. Z ŁUT-a najbardziej zapamiętam podróż autobusem z Komańczy do Krynicy, która trwała – w moim subiektywnym odczuciu – dłużej niż sam bieg w przeciwną stronę. A tak na poważnie – błoto po pachy, strumienie, śnieg i mróz w drugiej części biegu – prawdziwa wyrypa kształtująca charakter i samozaparcie. A w nagrodę 4 punkty do UTMB, możliwość złożenia aplikacji i oczekiwanie na losowanie. O dziwo zostałem wylosowany – udało się! W sierpniu 2016 zaliczam z całą rodziną wyjazd do Chamonix i chcę się cieszyć tym biegiem. Mam nadzieję, że wcześniej uda się do niego przygotować na kilku krótszych biegach – powiedzmy setkach (śmiech). No i może wykorzystam też ten wyjazd, aby rozejrzeć się po tamtejszych Igłach – wspinaczkowo, a nie biegowo oczywiście (śmiech)”.

Łukasz Korzeniewski realizował się w bieganiu z mapą. Zaliczył aż 6 imprez z kalendarza Pucharu Polski w Maratonach na Orientację (dalej PMNO) na dystansie do 50 km. Były to m.in. **Rajd Dolnego Sanu** (dalej RDS), **Mazurskie Tropy**, **Mordownik** i **Kaczawska Wyrpą**. Łukasz tak wspomina jeden ze startów: „Jak już wyleczyłem rozciągno podeszwowe po RDS, wybrałem się na sympatyczną imprezę o nazwie Mazurskie Tropy. Niepewny swojego zdrowia, wybrałem asekuracyjnie dystans 25 km. I jak się okazało, poległem. Ten start był dla mnie największą nauką w historii startów w różnych imprezach biegowych. Kilka razy chciałem zejść z trasy, ale najkrótsza droga do bazy była tak zarośnięta, że nawet nie mogłem się wycofać, więc ciągle byłem w grze. W końcu, na około 11 kilometrów do mety, po paru godzinach w boju, postanowiłem, że pi...lę, mam dość wszechobecnych much, pokrzyw oraz innego dziażdostwa i nigdzie już dzisiaj nie biegnę ani nie idę. Kupiłem mazurską oranżadę i zacząłem zdejmować z siebie kleszcze. Tego dnia i w ciągu dwóch następnych, naliczyłem ich równo 40 sztuk! W temacie statystyk dodam, że na 11 kilometrów do mety (czyli powinienem mieć przebiegnięte ok. 14 km) ja miałem już w nogach ponad 30. Cenna lekcja (śmiech).”



Uśmiech Trenera Korzeniewskiego po RDS
fot. arch. M. Mioduszewski

Łukasz realizował się również jako organizator. Wraz z **Zbyszkim Warakomskim** powołał w ubiegłym roku do życia nową super imprezę na orientację, czyli **Jurajską Jatkę**. Jakby tego było mało, w lipcu tego roku ma plan na kolejną imprezę, tym razem w Górach Świętokrzyskich. Oczywiście obie imprezy polecamy i serdecznie zapraszamy na nie każdego czytelnika BUKI.

Mateusz Żulu Mioduszewski biegał i po górach, i z mapą. Z górskich wyrpą zaliczył **Bieg Kreta** (ciekawość ponad 100 km ustawka ultra w Sudetach), połowę trasy **Malofatranskiej Stovki** (100 km w Małej Fatrze na Słowacji) i B7D – trasa 100 km. Z mapą długodystansowo realizował się na **Dymnie**, Mazurskich Tropach (III miejsce) i Jurajskiej Jatce (II miejsce). Tak **Żulu** w skrócie opisał nam swoje starty: „Zeszły rok to w moim wydaniu klasyczna sztuka cierpienia. Każdy start w związku z niedostatecznym wytrenowaniem wiązał się z fizyczną i psychiczną walką i na każdym starcie w pewnym momencie, z trybu dość sensownego mocnego napierania, przełączałem się na tryb turystyczny. Chyba tylko dzięki jako takiemu doświadczeniu w umęczaniu własnego organizmu udało mi się czasem osiągnąć w miarę przyzwoity wynik. Najlepiej wspominam Bieg Kreta. Wystartowało w nim tylko kilkanaście osób. Był to bieg bez wpisowego, ale z numerami startowymi, każdy z zawodników dostał nadajnik GPS i postępy zawodników można było na żywo śledzić w sieci. Uratowało to jedną z zawodniczek, która pobłądziła i odbiegła na około 20km od nieoznakowanej trasy (śmiech). Miało nie być żadnych punktów żywieniowych, ale znajomi i rodziny startujących prawie na każdej dostępnej autem przełęczy, serwowali pyszności, jakich nie widziałem na żadnym biegu. Polecam ten start każdemu, komu znudzi się branie udziału w innych znanych górskich biegach ultra. Nie dostaniesz na nim medalu, ani nie uciulasz punktów do wymarzonego UTMB. Jedyne na co możesz liczyć, to czysty biegowy ubaw za darmo. Największy łomot dostałem w Małej Fatrze. Kolega, który startował tam rok wcześniej wspominał mi, że to trudny bieg, ale coś nie chciało mi się w to wierzyć. Patrząc na 18-godzinny rekord trasy jakiś słowackich anonimowych biegaczy, pomyślałem, że w tym biegu startują raczej sami leszczę. Wszak ja 100km w B7D pokonałem w 2014 roku w nieco ponad 13h. Mimo niedostatecznego wytrenowania czułem, że powalczę o czołowe miejsce w stawce. Srogo się rozczarowałem. Ponad 4000m przewyższenia na pierwszej części trasy, totalny upał, zwątpienie we własne siły i brak chęci do totalnego zajeżdżania się zmusiły mnie do zejścia trasy i zaliczenia DNF. Już od około 20km nie myślałem o słowackich napieraczach, jak o leszczach, ale jak o jakiś



Żulu. Nie martw się tato, nie poszło ci tak źle
fot. Ola Pucek-Mioduszewska

mutantach i biegowych bogach (śmiech). Pokonałem tylko 50 km w nieco ponad 11 godzin, złamanie 24h byłoby pewnie tego dnia nie lada wyzwaniem.”

Więcej niż trochę podzielał w zeszłym roku **Rafał Piasecki**. Zaliczył **Niepokornego Mnicha** (prawie 100 km wokół Szczawnika, spora część trasy na terenie Słowacji), Chudego Wawrzyńca – trasa 55km, BUGT i bieg **6xBabia**.



Rafał Piasecki podczas BUGT
fot. Jan Korlatowicz

Takie wrażenia przekazał nam Rafał: „Przez ostatnie dwa lata zdecydowanie więcej biegałem niż się wspinałem... Taki oddech po dwóch wspinaczkowych wypadkach pozwala złapać dystans do wspinu i inaczej

spojrzeć na góry (śmiech). BUGT to był mój najważniejszy cel w minionym sezonie. Jak to ze złośliwością losu bywa na miesiąc przed, w Tatrach zresztą, skreśliłem kostkę (kręcenie filmów komórką w trakcie biegu to jednak zły pomysł). Formy nie było, ale trzeba się było postarać. Udało mi się pobiec taktycznie i z punktu na punkt poprawiałem lokatę. Zbieg z Krzyżnego szedł aż zbyt dobrze i pod koniec poskutkował dziurą w piszczelu... Skarpetka kompresyjna to jednak super pomysł – tamuje krwawienie (śmiech). Poznałem też sprytny patent polskiej służby zdrowia – 4 godziny w kolejce do szcicia w szpitalu, po to, by usłyszeć, że po tylu godzinach nie ma już sensu żyć (śmiech). Innym biegiem, który najbardziej dał mi w dupę w minionym sezonie, była Ultra Babia. Wystartowałem i zająłem 5 miejsce... wbiegając na nią prawie 4 razy. To naprawdę trudny bieg, gdzie dużo więcej jest walki niż biegania (z upałem, ze stronnymi odcinkami trasy, nawierzchnią, potokiem, krzakami). To prawdziwe wyzwanie, a nie ściganie po ubitych ścieżkach – bardzo polecam! Dla mnie jednak ciągle najlepszymi biegami są te „niezorganizowane” z Martą i naszym psem. Jednym z takich biegowych wyjazdów był wypad do angielskiego Lake District i szkockich Highlands i Skye, gdzie biegaliśmy po okolicznych pagórach doświadczając brutalności szkockiej pogody w maju i czerwcu. Przebiegliśmy kawałek **Bob Graham Round** i już wiem jaki mam cel biegowy na najbliższe lata – 42 szczyty w 24 godziny „na orientację”. W porównaniu z Beskidami czy Tatrami, naprawdę daje w dupę i trzeba się nauczyć skakać przez płoty.”

Jak zwykle elegancko dał czadu **Jakub Radziejowski**. Zaliczył z bardzo dobrym czasem **Ultra Trail du Mont Blanc** (170km wokół dachu Europy, 10000 m przewyższenia). Oddajmy jednak głos Kubie: „Sportowo, to czas zdecydowanie poniżej moich oczekiwań, ale o tyle sam siebie usprawiedliwiam, że wystartowałem chorując żołądkowo. Jak pech to pech – po tylu miesiącach przygotowań, przyszedł najgorszy dzień na bieganie od roku i gdybym tak się czuł przed wspinaniem, to pewnie bym nie wyszedł z domu. Dopiero po porządnym wyrzuceniu się na 45 km przed końcem, zacząłem biec normalnie. Zresztą „biec” to też za dużo powiedziane, bo tak się koncentrowałem wcześniej na żołądku, że w ciągu pierwszych 50 km nie pilnowałem stóp i zdrowo je sobie zniszczyłem. W Courmayeur, na punkcie medycznym wymrażali mi je ze 40 minut, zupełnie jak kurzajki (śmiech). Ogólnie lecząc się i kurując żołądkowo straciłem ze 3h-4h. Byłem 224. na około 2 500 startujących. Bez szału niestety, na pociechę pozostaje fakt, że podczas ostatnich 45km wyprzedziłem jakieś 120 osób (śmiech). Nie ma co ukrywać, UTMB to



Jakub Radziejowski na trasie UTMB

fot. arch. JR

bieg trudny, wymarzony czas 26h był w ogóle nierealny. Myślę, że gdyby nie choroba to 28h bym złamał. Ale 27 raczej już nie. Najgorsze, że byłem dość dobrze przygotowany. Ale choróbska nie przewidzisz... Z tym, że żeby nie było – jestem bardzo zadowolony, że w ogóle dałem radę to ukończyć w tych warunkach, bo dwa razy właściwie rzucałem ręcznik na ring. Rodzina czekała na punktach i właściwie dzięki niej dokończyłem. Ot, takie wspomnienie na całe życie (śmiech)."

Jak zwykle nie mogło zabraknąć na biegowych szlakach nałogowego napieracza **Marcina Werniksa Wernika**. Marcin pomiędzy wyprawami wspinaczkowymi zaliczył Niepokornego Mnicha, **Hardą Sukę** (ultra triathlon własnego pomysłu), BUGT i ŁUT – trasa 150km. Oto kilka jego słów o zeszłorocznym napieraniu: „Rozpocząłem w kwietniu od seteczki w Niepokornym Mnichu. Patrząc na poziom mojego przygotowania Aga podśmiewywała się, że nie ukończę. Wcześniej od początku stycznia przebiegłem tylko... 60 kilometrów (śmiech). Ale za to na skiturach pokonałem prawie 25 tys. metrów przewyższeń, co przełożyło się na to, że po 16 godzinach zameldowałem się na mecie. Na koniec czerwca był mój najważniejszy start, czyli Harda Suka (relację *Werniksa* z Hardej możecie przeczytać na naszej stronie – przyp. red.). Harda to 4,5km nocnego pły-

wania, 220 km pętla rowerowa dookoła całych Tatr, a na deser 55 km biegu przez grań od Doliny Chochołowskiej do Morskiego Oka. Tylko 8 tys. metrów przewyższenia (śmiech). Było ciężko, ból brzucha na rowerze, potem kostki na biegu. Gdyby to była regularna impreza, nawet z dużym wpisowym, to zszedłbym z trasy. Ale to była Harda, mój pomysł, musiałem ukończyć. Do Morskiego doczłapałem się, bo inaczej nie można tego nazwać, po żenujących 36 godzinach. Kiedyś będę musiał się zmierzyć z Hardą jeszcze raz. Kolejny start zaliczyłem w sierpniu, na dwa dni przed wyprawą do Pakistanu wystartowałem sobie w BUGT. Zupełnie bez napiny na wynik, wiedziałem, że nie mogę sobie pozwolić na skróconą kostkę przed Karakorum. Bez spiny, choć z ciężkimi momentami (na Ciemniaku skończyła mi się woda), na mecie zameldowałem się na kilka minut przed piętnastoma godzinami. Na początku października wróciłem z Pakistanu i chciałem wykorzystać zdobyte na wysokości czerwone krwinki na rewanż z ŁUT-em, oczywiście na dystansie 150km. I znów noga odmówiła posłuszeństwa i znów doczłapałem się do mety jako ostatni zawodnik, ponad pół godziny po limicie czasu. Tylko za cholerę nie wiem po co? (śmiech)."

I to by było na tyle.